STANISŁAW TOMASZ WOLSKI I JEGO PODRÓŻE.

Jedną z najoryginalniejszych postaci z epoki sasów, jest autor podróży po Europie, Azji i Afryce St. Tom. Wolski, którego dzieło doczekało się potrójnego wydania w r. 1737, 1748 i 1764 a wyszło w języku łacińskim pod napisem: *Illustris peregrinatio Jerosolomitana latius protracta per tres insiginores mundi partes a Thoma Stanislao Wolski, nobili polono, peregrino Jerosolimitano etc....* Z napisu umieszczonego pod ryciną dowiadujemy się, że autor pielgrzymki był kawalerem orderu złotego krzyża i że zbudował na morzu śródziemném fregatę a w połączeniu z innemi okrętami walczył przeciwko turkom, za co przez Benedykta XIII mianowany został admirałem, którego to papieża namawiał, ażeby wydał bullę na krucjatę przeciwko niewiernym, w celu odzyskania ziemi świętéj; nareszcie w r. 1738 i 1739 potykał się znowu z turkami w Węgrzech jako ochotnik pod chorągwią cesarską; przebywając w Konstantynopolu w r. 1730 uwolnił Józefa III, patrjarchę babilońskiego. Odważny i pobożny jak prawdziwy rycerz średniowieczny, od lat dziecinnych sposobił się do pełnego przygód życia, które późniéj umiłował tak namiętnie, bo jak sam powiada, licząc zaledwie lat trzynaście opuścił dwór Jana Czapskiego kasztelana chełmskiego, u którego się wychowywał i powziął myśl zwiedzenia obcych krajów i nieznanych okolic rodzinnéj ziemi. Przebiega młody wędrowiec ciemne litewskie lasy i dostaje się nad brzeg Niemna, gdzie spostrzegłszy na brzegu małą łódkę, chwyta za wiosło i bez myśli o jutrze, w nadziei zwiedzenia nowych nieznanych okolic, puszcza się z wodą. Nad wieczorem po całodziennéj podróży, ucieszył się widokiem miasta, które na pobliskiém wznosiło się wzgórzu, ale zaledwie stanął w jego bramie spotkał miejscowego proboszcza, który go zapytał zkąd i dokąd dąży, a zważając zbyt młode lata pielgrzyma, na-



Stanisław Tomasz Wolski, według ryciny znajdującéj się przy dziele.

mawiał go, ażeby zaniechał dalszéj podróży a pozostał w jego domu i zajął się nauką, do któréj obiecał mu dostarczyć potrzebnych i budujących książek. Niespokojny i chciwy wrażeń umysł młodzieńca, nie znajdował dostatecznéj strawy w obrębie małego miasteczka, w skromném zaciszu plebana; po dwóch miesiącach opuścił dom jego. „Wkrótce” mówi daléj Wolski, „powziąłem myśl uskutecznienia dawno zamierzonéj podróży, więc w niedługim przeciągu czasu przebiegłem Szląsk, Niemcy, Czechy, Austrję, Tyrol, Bawarję i t. d.” Tak więc zapalony młodzieniec zwiedza najciekawsze miasta, jako to: Pragę, Wiedeń, Monachjum, Tyrol, Trydent, wszędzie podziwia wspaniałe kościoły, zamki i pomniki, nareszcie po kilko miesięcznéj podróży kieruje się z powrotem ku ojczyznie przez Wrocław, zagląda po drodze do Trzebnicy, gdzie w kościele benedyktyńskim modli się przy grobie Stéj Jadwigi, a upojony do woli widokami miejsc cudnych i wrażeniami tam zaczerpniętemi, postanawia w chwili rozwagi odłożyć na czas późniejszy dalszą pielgrzymkę, a wziąść się do nauki i pracy, któréj poczuł potrzebę i ocenił wartość, pod wpływem doświadczenia, nabytego w téj pierwszéj młodocianéj podróży. Otóż z tą myślą przybył nasz bohatér do Warszawy i oddał się nauce pod przewodnictwem Ojców Pijarów. Nim przystąpimy do opisu powtórnéj Wolskiego wyprawy, którą rozpoczął po ukończeniu zupełném nauk w r. 1725, musimy pierwéj przytoczyć słów kilka samego autora o jego pochodzeniu. Urodził się on w Uniejowie w województwie sieradzkiém, archidjecezji gnieźnieńskiéj r. 1700, a herbem jego rodowym jest Pomian, który ma w polu żółtém czarną żubra głowę z mieczem przez środek, a na hełmie rękę z obnażonym mieczem. Mikołaj Wolski fundator klasztoru Kamedułów krakowskich na Bielanach był jego dziadem. W r. 1725 S. T. Wolski przedsięwziął podróż do obcych krajów, w myśli zwiedzenia Rzymu i Jerozolimy, a otrzymawszy listy rekomendacyjne do różnych dworów cudzoziemskich, z rąk Stanisława Chomętowskiego, wyjechał z Radomia na Kraków i Ołomuniec do Wiednia. Tu, na samym wstępie, niemiła spotkała go niespodzianka, albowiem z powodu zbliżającéj się wojny wyszedł rozkaz cesarski, ażeby władze policyjne aresztowały osoby noszące strój pielgrzymów, otóż Wolski nic nie wiedząc o tym mandacie, obiegał pałace i kościoły, w których spodziewał się znaleźć przedmioty godne widzenia, nareszcie kiedy z towarzyszem swoim, również pielgrzymem, wszedł do kościoła Ś. Stefana podczas nieszporów, żołnierze zastąpili im drogę i obsypali pogróżkami, a jeden z nich popchnął go zuchwale, co tak oburzyło Wolskiego, że nie mógł pohamować gniewu i uderzył winowajcę kijem; inni to widząc, ujęli obydwóch, wyprowadzili z kościoła i wtrącili do więzienia, gdzie za żelaznemi kratami przepędzili noc całą. Nazajutrz zaprowadzeni zostali do kommisarza cesarskiego, przed którym wytłumaczył się nasz rodak niewiadomością ustawy miejscowéj i pokazał mu paszporta, jakoteż inne świadectwa i listy rekomendacyjne; w skutku czego wypuszczony został na wolność. Przybywszy następnie do miasta Gratz, w Karnioli, tak o niém mówi: „Gród ten uchodzi za najważniejszy punkt w całym kraju, a to z powodu obronnego zamku na wysokiéj górze zbudowanego; mieszka tutaj wiele rodzin szlachetnych i zamożnych; położenie miasta jest dziwnie piękne i urozmaicone wzgórzami. Na drugi dzień po moim przyjeździe byłem świadkiem egzekucji, która wykonaną została nad dwiema kobietami, jedna z nich oskarżoną była o otrucie męża, a druga o zamordowanie nowo narodzonego dziecięcia; widok ten zaprawdę, smutne na mnie sprawił wrażenie, chociaż wkrótce przytrafiła się godna śmiechu okoliczność; jedna bowiem z tych niewiast, kiedy wstąpiła na rusztowanie, w towarzystwie X. Jezuity, który ją do chrześcijańskiéj śmierci przygotowywał, zaczęła śmiać się gwałtownie i kłaniać na wszystkie strony zgromadzonym tłumom, aż dopiero po długich naukach i przedstawieniach Ojca Jezuity powstrzymała się od podobnie nieprzyzwoitych objawów radości w tak ważnéj chwili, a następnie ze spokojem i skruchą czekała spełnienia wyroku, na mocy którego na cztery części została rozćwiertowana. Taką więc karę poniosła za mężo-

bójstwo, towarzyszce jéj zaś ścięto głowę. Niektórzy z przytomnych téj egzekucji, zauważywszy mój strój pielgrzymi, powiedzieli mi, że jeżelibym zechciał ocalić od śmierci którąbądź z tych niewiast, powinienem oświadczyć tylko że ją pojmę za żonę, a wyrok natychmiast zawieszony zostanie, ale z oburzeniem odparłem tak niegodną propozycję.”

Z Gratzu do Trjestu a ztąd morzem popłynął nasz wędrowiec do Wenecji, gdzie na samym wstępie zostaje zachwycony i zdumiony pięknością miasta, którego szerokie kanały i pyszne pałace czarujący przedstawiają widok; przedziera się więc przez tłumy ludu, zapełniającego place i udaje najprzód do polskiego posła, któremu oddał paszporta i pokazał listy rekomendacyjne, a odebrawszy od niego w zamian obietnicę pomocy i życzliwą radę względem dalszéj podróży, przypomniał, że ma jeszcze jeden list do wręczenia od Chomętowskiego, wojewody mazowieckiego, do Zacharjasza obywatela weneckiego, w którym poleca swego rodaka względom tego męża. „Zacny ten obywatel,“ mówi Wolski, „dowiedziawszy się że mam zamiar odprawić pielgrzymkę do Jerozolimy, natychmiast ofiarował mi swoje usługi i sam zaprowadził mnie do żyda, właściciela dwóch okrętów, z którym miałem zrobić układ względem przewiezienia mnie do celu zamierzonéj podróży. Żydek ten mówił po łacinie, więc z krótkiéj wstępnéj rozmowy dowiedziałem się od niego, że był niegdyś katolikiem rodem z Hiszpanji, i że w młodych latach poświęcił się służbie kapłańskiéj i miał już stopień djakona, ale dowiedziawszy się przypadkiem, że przodkowie jego byli żydami, porzucił obrany zawód, uciekł z Hiszpanji do Wenecji i tu porozumiawszy się z miejscowemi izraelitami, wyrzekł się chrześcijanizmu i przyjął ich niegodziwą wiarę. Skoro mi nagle uczynił tak niespodziewane i bezecne wyznanie, nie mogłem wymówić słowa, jak gdyby język przylgnął mi do podniebienia i uciekłem od niego czémprędzéj, jak od morowéj zarazy.”

Przepędziwszy dni kilka w Wenecji, zmienił Wolski dawny projekt, zamiast więc co miał popłynąć ztąd na wschód, postanowił pierwéj zwiedzić Rzym i znakomitsze miasta włoskie, udał się zatém do Padwy, był w Assizu, gdzie z wielkiém nabożeństwem uczcił grób Ś. Franciszka i rozpamiętywał legendy o jego cudach. Młody pielgrzym, z gorączkowém biciem serca powitał mury starego Rzymu; zaczął od zwiedzenia bazyliki Ś. Piotra i Watykanu a oglądając następnie stare pomniki cesarzów, posągi, kolumny, szczątki świątyń pogańskich i pyszne kościoły, przebiega myślą historję Rzymu, dzieje pierwszych chrześcijan i męczenników, a każdy niemal kamień ma dla niego szczególną legendę, którą naiwnie z zupełną wiarą powtarza; tak np. przy opisie kościoła Marji Panny wyzwolicielki mówi: „w pobliżu téj świątyni jest jaskinia, w któréj za czasów Ś. Sylwestra papieża mieszkał smok zionący morowém powietrzem; żeby zapobiedz temu złemu, ów święty wyzwał i zaklął smoka, a paszczękę jego zawiązał nićmi, zatém głosi jeszcze podanie że potwór ów żywy leży dotąd w jaskini i leżeć w niéj będzie aż do dnia sądnego. Nie daleko od wzmiankowanego powyżéj miejsca, znajdowało się podobno jezioro Kurcjusza, tak nazwane, na pamiątkę bohatéra, który dla zbawienia ojczyzny rzucił się w niego wraz z koniem, a taką podają przyczynę téj dobrowolnéj ofiary, że niegdyś wyziewy bardzo szkodliwe z owego jeziora, zabijały mnóstwo ludzi, aż nareszcie wyrzekła wyrocznia, że dla ocalenia ogółu powinien poświęcić życie jeden z obywateli, a skoro pochłoną go wody jeziora, natychmiast znikną szkodliwe wyziewy i morowe powietrze przestanie się szerzyć między ludem.“

Takiemi to legendami przeplata opowiadania swoje Wolski. W czasie jego pobytu w Rzymie, odprawiał się Jubileusz, więc napływ był wielki z różnych stron świata pielgrzymów, których pochód tak opisuje: „widok wielce budujący przedstawiał się moim oczom, tłumy ludu ciągnęły zewsząd, jedni czołgali się na gołych kolanach z ciężkiemi krzyżami na plecach, drudzy grubemi łańcuchami spowici, inni znów z koronami na głowie cierniowemi, których kolce wbite były głęboko, tamci znów obnażone ciało do krwi biczowali srodze.“ Kiedy po odprawieniu jubileuszu wychodził papież

z bazyliki Ś. Piotra, zbliżył się do niego Wolski, a przyklęknąwszy i ucałowawszy jego stopy, rzekł: „Udaję się Ojcze Święty w podróż do Jerozolimy, w celu odwiedzenia Grobu Zbawiciela, proszę cię więc o błogosławieństwo na drogę.” Przeżegnał mnie papież, powiada, a ja uradowany jego widokiem ucałowałem powtórnie stopy i poszedłem do gospody.” Polacy znajdujący się w Rzymie podczas Jubileuszu mieszkali w gospodzie Ś. Stanisława, w niéj przebywał także nasz wędrowiec; owóż pewnego razu zaszedł do téj oberży marszałek domu margrabiego Cafarelli, bogatego obywatela rzymskiego i zażądał w imieniu pana, ażeby jeden z pielgrzymów raczył udać się z nim do parafjalnego kościoła, gdzie ma trzymać do chrztu syna margrabiego, następnie przystąpił do Wolskiego i zaprowadził go do przeznaczonego miejsca. „Nie wymawiałem się bynajmniéj od téj nabożnéj posługi,” mówi autor podróży, „owszem zostałem chętnie ojcem chrzestnym dziecka margrabiego, za co ów, ugościł mnie potém wspaniale w swoim pałacu i przez cały czas trzech miesięcznego pobytu w Rzymie mieszkałem w jego domu i hojnie podejmowany byłem.” Przez trzy dni po ukończonym Jubileuszu odbywały się różne igrzyska z okoliczności ślubu króla francuzkiego z Marją Leszczyńską, córką Stanisława króla polskiego; muzyka, śpiewy i ognie sztuczne urozmaicały tę uroczystość. Wyjechawszy z Rzymu dążył Wolski do portu, gdzie spodziewał się znaleść okręt, na którym mógłby popłynąć do Jerozolimy; na drodze do miasta Leokadji spotkał wędrującego cudzoziemca, który dowiedziawszy się, że on jest polakiem, ofiarował mu swoje usługi i obiecał być wiernym towarzyszem podróży. Z opowiadania jego dowiedział się, że był niedawno w niewoli tureckiéj, a oswobodzony z niéj, po wielu przygodach dostał się do Włoch. „W jego towarzystwie” mówi daléj Wolski, „zatrzymałem się w klasztorze OO. Kapucynów, oczekując na przybycie okrętu. Z rozmowy dowiedziałem się że był heretykiem, chociaż słuchał razem ze mną Mszy Ś. Skoro udaliśmy się na spoczynek do przeznaczonego nam pokoju, przebudzony zostałem w nocy przeraźliwym jego jękiem, wstałem więc czemprędzéj, a rozbudziwszy ojca spowiednika, opowiedziałem mu jako towarzysz mój był heretykiem i jakie niebezpieczeństwo grozi duszy odszczepieńca. Nazajutrz rano złożony nagłą ciężką niemocą, nie podnosił się z łóżka, przenieśli go więc OO. Kapucyni do szpitala, ale dowiedziałem się wkrótce zdziwiony że na żądanie chorego, Kommunja Ś. miała mu być udzieloną; pobiegłem czémprędzéj do przełożonego i przestrzegłem go, jako tenże nie może przyjąć kommunji, dopóki się nie nawróci i nie wyrzecze błędów heretyckich, jakoż dowiedziałem się późniéj że mój towarzysz umarł w grzechu i jako odszczepiony od prawowiernego kościoła, pogrzebany został za miastem w polu.”

Wylądowawszy na wyspie Malcie, podziwia Wolski zamki warowne kawalerów maltańskich, jakoto jeden pod nazwą Michała Anioła i drugi Emanuela, następnie rozwodzi się nad zakonem rycerzy jerozolimskich, o których ustawie i obyczajach, między innemi mówi: „wielka wiara zagrzewa serca owych Chrystusa żołnierzy, których jedynym celem i największym zaszczytem jest gromić niewiernych a igraszką są dla nich tysiączne trudy i niebezpieczeństwa, ba! nawet śmierć sama. Zaciągają się do ich zgromadzenia kawalerowie różnych europejskich narodów, a kładą za główny warunek przyjęcia, że każdy dowieść musi, że jest szlacheckiego rodu i jako żaden z jego przodków nie podlegał infamji, potém uczyniwszy ślub ubóstwa i czystości, przez lat dwa pozostaje w nowicjacie, w przeciągu którego to czasu musi przedsiębrać różne podróże na morzu, a skoro spostrzeże jaki turecki okręt, obowiązuje się go napaść i pogromić. Mistrz zakonu, po upływie lat dwóch nowicjatu, wkłada na rzeczonego rycerza suknię białą, która ma oznaczać godność kawalerów maltańskich; jeżeli zaś odznaczy się jakim znakomitym czynem w walce przeciwko turkom i przyprowadzi z trjumfem do portu Malty zgromione lub zabrane okręta, otrzymuje w nagrodę od mistrza jakie dowództwo lub urząd. Nowego mistrza obierają kawalerowie większością głosów, a jeżeli w przeciągu lat trzech na obiór się nie

zgadzają, po upływie tego czasu wybór zawisł od papieża. Gdy turcy lub inni poganie grożą potędze zakonu, wtedy mistrz okólnemi listami wzywa do obrony kawalerów ze wszystkich stron świata, a każdy powinien stawać na zawołanie i niczém od tego wymówić się nie może. Mistrza osoba otoczona jest powagą i przepychem prawdziwie królewskim. Liczba niewolników tureckich dochodzi do cyfry 8,000; wystawieni są na sprzedaż i ci tylko, za których wypłacą nabywcy żądaną summę, wypuszczeni bywają; wszyscy zaś inni pozostają na zawsze w usługach zakonu. Ludność całéj wyspy wynosi 80,000 dusz; miasto ozdobne jest cudnemi pałacami, wodotryskami i t. d.”

Daléj tak podróż swoją opisuje autor: „W dzień Ś. Józefa przybył okręt francuzki, który miał płynąć do Syrji; nie omieszkałem więc skorzystać z téj sposobności i wraz z O. Missjonarzem którego poznałem w Malcie, udałem się do kapitana a nazajutrz wyruszyliśmy w drogę. Zaledwie upłynęliśmy mil dwanaście, zerwała się ogromna burza, a wicher tak silnie miotał okrętem, że nie mogliśmy ustać na nogach, po wielu nareszcie trudach i niebezpieczeństwach, ujrzeliśmy wyspę Cerigo blizko Archipelagu, a skoro statek nasz dobijał do przystani, leżącéj pomiędzy dwiema skałami, spostrzegliśmy z żywą radością czerwoną flagę ze znakiem lwa i krzyża, wywieszoną na wieży zamkowéj, domyśliliśmy się bowiem, że wyspa ta jest posiadłością wenecką. Różnorodna ludność zamieszkuje na téj skalistéj wyspie, która ma tylko jedno miasto i kilka wiosek. Zamek nie wielki ale dobrze zbudowany i obwarowany wznosi się blizko przystani, na straży przeciwko napadom turków; podczas trzechdniowego naszego pobytu tutaj, kapitan zalecił nam mieć broń w pogotowiu i dawać ciągłe baczenie na to, ażeby turcy nie naszli nas niespodzianie. Kapitan rozkazał zapuścić sieci, tymczasem nim połów ryb ukończony został, grecy



Po całodziennéj podróży, ucieszył się widokiem miasta, które na pobliskiém wznosiło się wzgórzu.

poczęstowali nas ślimakami, które na ogniu w pewnéj kaplicy upiekli, zatém udaliśmy się na spoczynek, ale nazajutrz rano nie miłe miałem przebudzenie, żarłoczni bowiem grecy przeznaczone dla mnie ryby zjedli, a że zostało jeszcze kilka sardynek prosiłem żeby mi takowe oddali; niegodziwcy odmówili mi tego nędznego posiłku i jak psy warczeli na mnie.

„Korzystając z pomyślnego wiatru puściliśmy się w dalszą podróż i wkrótce ujrzeliśmy wyspę Kretę czyli królestwo Kandji, które nieszczęśliwem zrządzeniem losu dostało się w ręce bezbożnych turków, po długiéj i uporczywéj walce ze strony wenecjan. Kandja również jak sąsiednie królestwo Cypru długo wytrzymywała oblężenie i przez lat dwadzieścia wenecjanie bronili mężnie swéj posiadłości, ale zawiedzeni w nadziei otrzymania posiłków od chrześcijańskich mocarstw, musieli w końcu ustąpić przed wzrastającą potęgą ottomańskiego cesarstwa. Równie pomyślny wiatr towarzyszył nam w podróży do brzegów Cypru; wyspa ta obfituje w ludne i bogate miasta, a wszędzie pełno winnic i różnorodnych owoców, zamieszkują ją turcy i chrześcijanie, po większéj części grecy, katolików jest mała ilość. Na całéj wyspie jest tylko jeden klasztor OO Franciszkanów, w którym znajduje się cudowny wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa. Opowiadają jako pewnego razu niewierny muzułmanin plunął na twarz Zbawiciela, a cudownèm zrządzeniem Ś. Jan, wyobrażony w posągu, podniósł rękę i zaczął bić turka; żeby zaś zbrodniarz nie uciekł, Najświętsza Panna, któréj statua stoi tuż obok, trzymała go, dopóki nie odniósł zasłużonéj kary. Rozgniewany turek zaskarża OO. Franciszkanów przed paszą, który natychmiast posłał żołnierzy do rzeczonego klasztoru; kiedy stanęli na miejscu, zapytują się skarżącego, kto mu zadał te plagi, a on pokazuje na posąg Ś. Jana i na statuę Najświętszéj Panny; pytają go znowu: jaką im wyrządziłeś krzywdę, więc turek odpowie: „plunąłem na twarz Ukrzyżowanego.“—„Dobrze ci zrobili, bo kto ci kazał znieważać chrześcijańskie bóstwa?“ tak nieprzychylny usłyszawszy wyrok odszedł muzułmanin smutny i zawstydzony.“ Pełno ucieszných przygód opowiada Wolski w swojéj podróży; tak np. skoro przybył do portu w Tripolis, gdy szedł do miasta w towarzystwie przełożonego zakonu, zdarzyło się, że ów towarzysz jego trącił nieumyślnie jednego turka, z którym spotkali się w wązkiéj bramie; urażony muzułmanin dobył noża i groził mu że go przebije, ale skończyło się na postrachu i klątwach; poczém turek nagle złagodniał i żądał tylko od niego, aby go pocałował, „Zabawny był dla mnie widok“ mówi Wolski, kiedy wysokiego wzrostu przeor schylał się do ust nader maleńkiego turka. Miasto Tripolis leży na równinie, ubarwione jest rozkosznemi ogrodami, w których winne latorośle, pomarańczowe i cytrynowe drzewa, cudnym widokiem i wonią upajają zmysły; są tu klasztory Jezuitów, Karmelitów, Kapucynów i Franciszkanów, wstąpiłem więc do ogrodu OO. Kapucynów i rozkoszowałem się miłym zapachem pod cieniem drzew cytrynowych, następnie udałem się do miasta a wyszedłszy za bramę spotkałem się z turkami, którzy zapewnie dla igraszki zaczęli rzucać na mnie kije zaostrzone jak strzały, ale szczęściem uniknąłem niebezpieczeństwa i turcy wkrótce porzuciwszy tę nieprzyzwoitą zabawę inną poszli drogą. Miałem zamiar udać się ztąd lądem do Jerozolimy, ale przeor odradził mi tę podróż, z powodu napadów arabów, którzy rozbijają i grabią po drogach. Dzięki Bogu, przybył do Tripolis statek grecki, na którym popłynąłem w towarzystwie turków, greków i armeńczyków; pomiędzy niemi znajdował się młody greczyn, który dobrze mówił po włosku i powiedział mi że jest katolikiem, ale nie dowierzałem mu wcale, bo ci grecy według potrzeby zmieniają religję i przyznają się że są wyznawcami alkoranu, skoro interes z turkami ich łączy. Skoro z portu Tripolis na pełne wypłynęliśmy morze, zmienił się nagle kierunek wiatru i zaskoczyła nas burza, więc z trudnością dobiliśmy do przystani i wyszliśmy na ląd szczęśliwie. Nie opodal od brzegu na szczycie góry był klasztor Bazyljanów, podążyłem więc w tę stronę i zaszedłem do jaskini w części przez naturę, w części sztuką wyżłobionéj w skale; zdarzyło się że kiedy wchodziłem do tego kościoła, odbywały

się nieszpory i Bazyljanie śpiewali psalmy. Skoro mnie ujrzeli księża, podali mi kule w kształcie półkrzyżów, ażebym się na nich opierał, bo ławek nie było wcale; podziękowałem im zrazu za tę usługę, ale tak silnie nalegali na mnie, że musiałem w końcu skorzystać z ich grzeczności. Bazyljanie byli dyzunickiego obrządku, żeby więc nie dodawać im pychy, nie okazywałem zbytniego nabożeństwa w ich kościele. Po ukończonych nieszporach zaprosili mnie na wieczerzę; usiadłem za ich przykładem po turecku, bo żadnego krzesła ani ławy w całym klasztorze nie było; słomiankę rozesłali na ziemi zamiast obrusa i postawili potrawy, które się składały z kaszy pszennéj warzonéj, z jakiegoś ziela zaprawionego octem i solą i z oliwek smażonych; stłumiłem o ile było w méj mocy odrazę i owszem kosztowałem tych potraw i udawałem że mi smakują. Trudno wypowiedzieć jak ostry żywot prowadzą ci zakonnicy pod tytułem Ś. Bazylego, ale zarażeni kacerstwem Focjusza raczéj za męczenników djabła, niż P. Boga powinni być poczytywani. Po wyjściu z klasztoru zauważałem że spór zaszedł pomiędzy majtkami, usiadłszy więc na beczce przypatrywałem się ich kłótni, ale nagle jeden z tych greków rzucił się na mnie, powalił na ziemię i porwał za beczkę; gotów był roztraskać mi głowę, gdyby nie nadbiegli inni i nie ocalili mnie od tego zamachu; dowiedziałem się z ich opowiadania, że powodem wściekłości greka było podejrzenie, jakobym posiadał dużą ilość złota, tak więc cudem Boskim ocalony zostałem od śmierci. Nie bez trudów i niebezpieczeństw, mówi daléj autor, przybyliśmy do Bejrutu, gdzie wysiadłszy poszedłem najprzód do klasztoru OO. Kapucynów i odwiedziłem ich kościół, w którym dziwny zastanowił mnie widok. Kobieta stojąca nad grobowcem od rana aż do południa głośne wydawała jęki, a skoro zapytałem się księży o przyczynę, powiedzieli mi, że jest zwyczaj dawny w tych stronach, że żony po śmierci mężów przez czas żałoby t. j. przez rok cały obowiązane są codziennie w ten sposób okazywać żal swój po stracie małżonków nad ich grobowcem. Po obiedzie u OO. Kapucynów wyszedłem z niemi na miasto, w którém pokazywali mi przedmioty godne uwagi; między innemi widziałem piękny pałac, zbudowany w stylu europejskim, właściciel jego dawny pochodził z zamożnéj książęcéj rodziny, a napodróżowawszy się po różnych stronach świata za młodu, wrócił do Bejrutu i postawił pałac z tak wysoką wieżycą, ażeby mógł z niéj wyspę Cypr dosięgnąć okiem, ale skoro wieść o tém doszła do uszów tureckiego cesarza, kazał go powiesić za to, że w budowie pałacu naśladował architekturę chrześcijańską. Skoro stanęliśmy na jednym z placów miasta, ujrzeliśmy zgromadzonych turków w około śpiewaka, który trzymając muzyczny instrument o dwóch strunach, przebierał po nich palcami i zawodził jakąś pieśń arabską, wcale niewdzięczną dla ucha; zaciekawiony tym widokiem śmiesznym i poważnym zarazem, zapytałem się mego towarzysza, jaka jest treść jego śpiewu, na co odebrałem odpowiedź, że arab opowiada przygody i nieszczęścia swojéj niewoli u chrześcijan, ich obyczaje, nabożeństwa i obrzędy, co wszystko w żywych obrazach, w rytmicznéj wyraża mowie. Po téj wycieczce powróciłem do klasztoru z zamiarem przenocowania tamże, ale grek mój towarzysz, który mówił po włosku, radził, ażebym nie odbywał dalszéj podróży morzem z powodu nieprzyjaznych wiatrów, a raczéj udał się z nim razem lądem do miasta Sidonu, zarazem zaprojektował ażebyśmy przenocowali w znajoméj mu gospodzie. Nie posądzając o złe zamiary greka, który najwierniejszego udawał przyjaciela, zgodziłem się na to i poszedłem do wskazanego przez niego domu. Pokój do którego udaliśmy się na spoczynek, podobniejszy był do chlewu niż do gościnnéj izby, ale potrzebując wypoczynku położyłem się na przeznaczoném dla mnie posłaniu ze słomy, mój zaś towarzysz legł nie opodal odemnie. Jakby przeczuwając coś złego nie mogłem długo zamknąć powiek, oczekiwałem więc z niecierpliwością poranku, kiedy usłyszałem że grek podniósł się z posłania i cicho podkradał się ku mnie, a doczołgawszy się do mego wezgłowia wyciągnął rękę i zaczął szperać pod poduszką, następnie przetrząsał moje rzeczy; ja zaś nie poruszyłem się wcale i uda-

wałem śpiącego, aż w końcu kiedy po próżném poszukiwaniu miał wrócić na swoje miejsce, rzekłem: daremna twoja praca, mój bracie, bo pieniędzy nie mam wcale; wtedy zaczął się tłomaczyć, zaklinając się że nie miał żadnéj złéj myśli i że chciał tylko wygodniejszą dać mi poduszkę, przyczém ostrzegał mię, ażebym nie dowierzał jego towarzyszom, chociaż sam był największym bez wątpienia łotrem. Przepędziwszy w rzeczonéj gospodzie noc bezsenną, z nadejściem poranku, puściliśmy się w dalszą drogę na koniach, mułach i osłach. Wyjechawszy z gęstego oliwnego lasu napotkaliśmy chatę, w któréj turcy stali na straży; tu musieliśmy opłacić cło w pieniądzach tureckich, a skoro zapytałem się towarzysza greka o powód tego poboru, odpowiedział mi, że ci żołnierze mieszkają tutaj dla bezpieczeństwa podróżnych, albowiem często bywają w tych okolicach wydarzenia grabieży i rozbojów."

Po wielu trudach i różnych przygodach przybył nareszcie nasz rodak do ziemi świętéj, gdzie opowiadania swoje według zwyczaju przeplata anegdotami. Grób święty tak opisuje: „Wielka tu jest ilość świeczników złotych i srebrnych zawieszonych w przedsionku do grobowca i w środku tegoż. Jeden z nich tak jest ogromny, że potrzeba przynajmniéj trzech ludzi do podniesienia go, oprócz tego jest mnóstwo lamp ogromnych zawsze gorejących, które podarowane są przez katolickich monarchów, a różnią się od greckich, o których dziwną wymyślili powieść, jakoby ogień z nieba ich zapalał i jakoby płomień ich za dotknięciem nie był wcale szkodliwy; opowiadają z powodu téj bajki śmieszną przygodę, która spotkała pewnego chaldejczyka nestorjanina, kiedy bowiem chciał przekonać się o istocie cudu, zaledwie przyłożył brodę do ognia, natychmiast się zapaliła, ale okoliczność ta wyszła mu na dobre, bo jakkolwiek żałował utraconéj brody, porzucił błędy nestorjańskiego kacerstwa i gorliwym został katolikiem i t. d. i t. d.

„Zbliżał się koniec roku 1726, a zatém pożegnawszy się serdecznie z przełożonym kościoła jerozolimskiego, wyruszyłem w podróż ku miastu Rama w towarzystwie tureckiéj karawany. Ujechawszy pięć lub sześć mil od Jerozolimy napotkałem bandę arabów w polu, zaniepokojony więc przeczuciem czegoś groźnego zacząłem poganiać muła i uciekałem jak mogłem najprędzéj, ale ostrożność ta nic mi nie pomogła, bo arabowie pędzili za mną na chyżych koniach i z krzykiem zaskoczyli mi drogę, a jeden z nich ogromnym kijem wywijał już nad mą głową; szczęściem, że odskoczyłem na stronę i uniknąłem ciosu, chowając się pomiędzy turków, którzy starali się mię ochronić; arabowie jednak nie chcieli dać za wygraną, owszem wskoczywszy w środek karawany wyciągnęli mię i powalili na ziemię, w myśli żeby mię ochłostać, ale nadbiegli znajomi moi turcy walkę rozpoczęli z rozbójnikami, a jeden z nich dopomógł mi powstać i wsiąść na muła. Po krótkiéj utarczce arabowie żądali okupu, ale że summa przez nich naznaczona, przewyższała moję możność i takowéj im odmówiłem, rzucili się i powtórnie ściągnęli mię z muła na ziemię i byłbym zginął niezawodnie, gdyby nie pośrednictwo turków, którzy im zaręczyli, że pięć skudów a może i więcéj zapłacę, tak więc, za łaską Boską, ocalony zostałem od śmierci. Skoro po wielu niebezpieczeństwach przybyłem do miasta Ramy, nie na tém był koniec moich zmartwień i widocznie chciał Bóg różnemi przykrościami doświadczać mię w téj podróży. Zatrzymałem się w klasztorze OO. Franciszkanów, gdzie miałem nocleg wraz z pewnym lutrem, który również wracał z Jerozolimy; otóż w chwili, kiedy położyłem się na łóżku i zabierałem do spoczynku, ów niegodziwy luter, zaczął wynosić pod niebiosa swoją kacerską wiarę, a miotać obelgi na święty nasz kościół katolicki; zuchwalstwo jego doszło do tego stopnia, że nie mogąc ścierpieć dłużéj podobnéj zniewagi naszéj religji, zerwałem się z łóżka i z całéj siły zacząłem okładać butem luterskie plecy, aż w końcu uciekł z pokoju i ogromnym krzykiem przebudził OO. Franciszkanów, którzy wbiegli do mnie i pytali o przyczynę hałasu, a kiedy wymawiać mi zaczęli że robię burdę w klasztorze, odpowiedziałem krótko: „że zawsze i na każdém miejscu gotów jestem stawać w obronie ś. wiary,

chociażby najwidoczniejsza śmierć mi zagrażała.” Pozbywszy się lutra i wyjechawszy z miasta Ramy zajechał nasz podróżny do wioski, leżącéj u stóp góry na brzegu oliwnego lasu, gdzie przez greka gościnnie utraktowany został, za co tenże żadnéj nie chciał przyjąć nagrody.

W dalszéj podróży do morza Galilejskiego często spotykał się Wolski z koczującemi arabami i był przez nich napastowany, ale nie możemy przytaczać wszystkich szczegółów jego pielgrzymki, chociaż wiele znajduje się w niéj charakterysty-



Nadbiegli znajomi moi turcy i walkę rozpoczęli z rozbójnikami.

cznych ustępów, w których nie tylko występuje na jaw postać samego autora, ale także rodzaj życia i obyczaje mieszkańców wschodu, z któremi spotykał się w drodze. Oto jest jeszcze jeden z wydatniejszych opisów: „Skoro spuszczaliśmy się z wierzchołka góry, w pobliżu morza galilejskiego ujrzeliśmy dom wysoki w kształcie baszty a przed nim stało dużo arabów, maurów, greków i armeńczyków; zaledwie zbliżyliśmy się do nich zaczęli biedz ku nam i ciekawie się przypatrywać, ale wyszedł z domu pewien urzędnik, z ogromnym kijem i kazał im się rozejść; inaczéj bowiem żądaliby od nas pieniędzy, a może nawet gwałtem zechcieliby wydrzeć. Utrudzony konną jazdą, postanowiłem podążyć piechotą do sąsiedniéj wioski, kiedy wpośród wązkiego przejścia, kobieta arabska zastąpiła mi drogę i nie chciała się usunąć pierwéj, aż ją zmusił do tego towarzysz mój maurytanin. Minęliśmy wioskę w któréj leżały po drodze woły i krowy a podążyliśmy do źródła, w zamiarze ochłodzenia się świeżą wodą, poczém rozłożyliśmy na ziemi kobierzec pod cieniem drzew i całą godzinę odpoczywaliśmy pod bramą miasta Tyberjady; w tym czasie ukazał się w bramie basza miejscowy, którego gdy spostrzegł maurytanin, pośpieszył na spotkanie, a zbliżywszy się do niego, pocałował go pokornie w rękę i w imieniu baszy nazareńskiego oświadczył mu pozdrowienie. Stosując się do przyjętego zwyczaju, chcieliśmy także pozsiadać z koni, ale basza widząc naszą gotowość do oddania mu hołdu, zabronił nam tego, owszem uprzejmie nas powitał i ciekawie, z uśmiechem, przyglądał się naszym ubiorom.” W inném miejscu mówi Wolski: „Okolice Nazaretu pełne są band koczujących arabów, którzy żyją pod gołém niebem i rozbijają po drogach, przyzwyczajeni są oni do trudów i wojny, bo dzieci które chodzić jeszcze nie umieją

przywięzują do wielblądów i zaprawiają ich do niewygód podróży i skwaru płomiennego słońca; opowiadali mi historję pewnego araba, co uzbrojony czterdziestu strzałami, stanąwszy na pagórku, wytrzymał natarcie licznych zapaśników i zmusił ich do odstąpienia.” Pomiędzy osobami które napotkał Wolski podróżując po wschodnich krajach, zapoznał się także z polakiem, jezuitą Tadeuszem Krusińskim, autorem znanego dzieła w naszéj literaturze: *Historja tragicznych klęskami wojen perskich od r.* 1711 *do* 1728, *poprzedzona wstępem czyli relacją turecko-perskiego poselstwa*, którą tenże autor z tureckiego na łaciński język przełożył. W podróży do Egiptu spotkał się także nasz pielgrzym z missjonarzem powracającym z Indji, który między innemi opowiadał mu o Japonji, jak trudno dostać się europejczykom do tego kraju i jak pewien ksiądz katolicki zawędrowawszy tamże, stawiony został przed cesarzem, który przekonawszy się że missjonarz wcale nie zna japońskiego języka ani obyczajów tego narodu, uznał go za nieszkodliwego, a nie chcąc pozbawiać się tak rzadkiego i ciekawego egzemplarza, postanowił zatrzymać go przy swoim dworze i kazał dać mu wszystkie wygody. Kiedy europejczyk nie przyzwyczajony do barbarzyńskiego japończyków stołu, nie mógł spożywać przygotowanych dla niego potraw, polecił cesarz dworzanom ażeby mu podawali surowe jarzyny, któreby on sam według własnego smaku przyrządzał, do posługi zaś przeznaczył mu dziewczynę, ale skoro missjonarz podziękował za pannę a prosił o chłopca, wpadł w wielkie podejrzenie u cesarza i u obywateli japońskich, którzy uważali za złą wróżbę żądanie takowéj zamiany i wstręt do dziewczyny; osądzili że europejczyk ukrywa złe przeciwko rządowi zamiary, więc ani chłopca ani służebnicy mu nie dali, a wtrącili go do więzienia, w którém umarł wkrótce dręczony samotnością i głodem.

Skoro Wolski przybył powtórnie do Rzymu, trafił na uroczysty obrzęd kanonizacji Stanisława Kostki, Alojzego Gonzagi, Jana z Krzyża i innych jeszcze pięciu błogosławionych. O posłuchaniu u papieża i podróży do Neapolu tak mówi autor: „Po ukończonym obrzędzie kanonizacji udałem się do Watykanu i oświadczyłem mistrzowi dworu gorące pragnienie ucałowania stóp Ojca Śgo; prośba moja wysłuchaną była i wprowadzony zostałem do mieszkania Najwyższego Pasterza. Przypomniałem papieżowi, jako miałem szczęście być mu przedstawionym za pierwszą bytnością w Rzymie, zkąd udałem się na Wschód dla odwiedzenia Grobu Pańskiego; Ojciec święty mię poznał i jak najłaskawiéj powitał; ośmielony tém przyjęciem opowiedziałem mu w krótkości dzieje mego pielgrzymstwa, poczém namawiałem go w najgorętszych wyrażeniach, ażeby ogłosił krucjatę przeciwko turkom. W rozmowie z Ojcem świętym przedstawiałem mu obecne położenie muzułmańskiego państwa, a zatém wszystkie okoliczności, które sprzyjają do odzyskania miejsc świętych, byleby tylko na poparcie tego wielkiego czynu, zechciał wydać bullę do królów i książąt chrześcijańskich, z wezwaniem, ażeby połączonemi siłami powstali przeciwko niewiernym. Pochwalił papież moją gorliwość w sprawie wiary świętéj i polecił ażebym projekt mój wyłożył kardynałom, sam zaś obdarzył mnie odpustami, relikwjami świętemi i pieniędzmi. W końcu marca roku 1727 wybrał się Ojciec Ś. w podróż do Benewentu, w któréj postanowiłem mu towarzyszyć. Kiedy papież podróżował lądem, na brzegu morskim krążyły statki dla zabezpieczenia go od napadu turków, którzy dowiedziawszy się o jego wyjeździe w Algierze, wysłali korsarskie okręta, a nawet jeden z tych wylądował na brzegach Romanji i zabrał trzydziestu dwóch niewolników. Wszędzie po drodze witały Ojca Ś. tłumy ludu, a skoro wyjechał za granicę swego państwa, uszykował się cały orszak processjonalnie i kapelan papiezki na czele z Najświętszym Sakramentem jechał konno, otoczony gorejącemi pochodniami i w tym porządku postępował aż do Benewentu. Papież w gronie licznych dworzan i szwajcarów stanął na granicy królestwa neapolitańskiego; wicekról wyjechał na jego spotkanie, więc skoro ujrzał kolasę papiezką, zsiadł z konia, a zbliżywszy się do niéj, ucałował rękę Ojca Ś. i oświadczył mu hołd winny w imieniu swego pana cesarza Karola VI.

Papież nie chciał wysiadać z kolasy do wystawionego umyślnie dla niego wspaniałego namiotu, więc po półgodzinnéj rozmowie z nim, kardynał Altan mąż wielkich cnót i pobożności, wicekról neapolitański, podążył naprzód, ażeby przygotować w mieście Kapui wspaniałą ucztę na przyjęcie papieża i jego dworu i t. d.” W dalszym ciągu opowiadania znajduje się zajmujący szczegół z pobytu papieża w Benewencie. Kiedy z różnych okolic zbiegali się pielgrzymi ażeby oglądać oblicze Benedykta XIII, rozkazał przygotować dla nich ucztę przy któréj sam chciał usługiwać. Przed wieczerzą obmywał papież pielgrzymom nogi, a nikomu nie dał się wyręczyć, owszem sam dźwigał i rozlewał wodę. Kiedy niektórzy panowie ze znakomitych neapolitańskich rodzin prosili go ażeby im także dozwolił obmywać nogi pielgrzymom, rzekł: „dzień jeden wyznaczyłem dla siebie, wy w innym czasie możecie wykonać ten akt chrześcijańskiéj pokory.” Miałem także jako pielgrzym udział w téj uczcie,“ mówi Wolski „i zasiadłem na ławie w towarzystwie innych podróżnych. Najprzód papież zbliżył się do pewnego księdza, którego nogi oblewając, zapytał: z jakiéj jest djecezji, a kiedy otrzymał odpowiedź, rzekł: twój biskup nie chciał uznać konsyljum trydenckiego; tak następnie rozmawiał z innemi, a kiedy przyszła koléj na mnie, zapytał czy jestem księdzem? odpowiedziałem iż nie mam tego szczęścia, więc zkąd jesteś rodem? — jestem polakiem. — Na to on: polacy żyją w bojaźni Bożéj i są dobremi chrześcijanami, — zatém pytał: jakiéj djecezji? — gnieźnieńskiéj, — jak się twój arcybiskup nazywa? — Teodor Potocki prymas. Powiedział iż zna go, jako pobożnego i zacnego pasterza. Po ukończonym obrzędzie obmywania nóg zasiadłem w gronie pielgrzymów za przygotowanym do uczty stołem; papież rozdzielał, podawał potrawy i nalewał wino, słowem wszystkie pełnił posługi; skoro się do mnie zbliżył zdało się że mnie nie poznał, z powodu że w podróżnym teraz byłem ubraniu, więc zapytał znowu skąd przybywam, na co odpowiedziałem mu że z ziemi świętéj, kardynałowie zaś którzy stali obok, przypomnieli mu że jestem tym samym pielgrzymem, którego on zaszczycił szczególnemi względami i obdarował łaskami w Rzymie.” Opuściwszy Włochy udał się Wolski do Francji, zwiedził Marsylję, Lugdun, Roan, Bluar, w okolicy tego miasta mieszkał wówczas król Stanisław I, więc z listami rekomendacyjnemi przybył do jego dworu i przyjęty gościnnie został przez króla, który go zaszczycił całogodzinną rozmową; następnie zwiedził Paryż i Londyn. W Anglji obiega słynniejsze miasta, przygląda się wszędzie przedmiotom godnym uwagi, ubolewa nad losem Jerzego syna Klementyny królowéj angielskiéj, wnuki Jana III, to znów rozważa z goryczą upadek i ucisk katolicyzmu w tym kraju. Z Anglji udał się do Brukselli i innych miast belgijskich, odwiedził znowu Niemcy i Wiedeń, potém Francję i Marsylję, zkąd po raz trzeci podążył do Włoch. W Marsylji zakupił okręt i zaopatrzył się w dostateczną ilość broni, w zamiarze potykania się z tureckiemi korsarzami, ale przedsięwzięcie to nabawiło go wielu kłopotów, skoro się bowiem wieść rozeszła o tém, stawiony został przed sąd magistratu, który zawyrokował, że statek nabyty sprzedać powinien, broń tylko pozwolono mu zatrzymać przy sobie. Nająwszy okręt popłynął do Genui, ale zaledwie dostał się do tego portu, powziął znów myśl zakupienia nowego okrętu, wiedziony gorącą żądzą walki z niewiernemi, skoro więc wysiadł na ląd, zrobił natychmiast układ względem rzeczonego kupna i zakreślał plany przyszłéj wyprawy; na wzór kawalerów maltańskich, postanowił krążyć po morzu i bronić brzegów włoskich od napadu turków, nabył już nawet w tym celu znaczną ilość czerwonego sukna na umundurowanie żołnierzy, ale plan jego po raz drugi zwichnięty został. Oskarżony przez magistrat stawiony został przed senatem, następnie rozpoczęli śledztwo, a odebrawszy mu listy i pieniądze, wtrącili go do więzienia; szczęściem zajął się dalszém badaniem sprawy pewien patrycjusz genueński, mąż niepospolitych zdolności, ten wyrozumiawszy jego niewinność, kazał wypuścić Wolskiego na wolność i zwrócił mu listy i pieniądze, kontrakt jednak względem zakupionego okrętu został unieważniony. Wiele jeszcze późniéj doświadczył nasz rodak nie-

przyjemności, z powodu zamierzonéj wyprawy przeciwko nieprzyjaciołom krzyża, jakoż w innèm miejscu francuzki konsul dowiedziawszy się w jakim celu Wolski wywiózł znaczną ilość broni z jego kraju, kazał natychmiast go aresztować. Dopiero za wstawieniem się ambasadora polskiego w Rzymie został uwolniony. Skoro przybył do Rzymu, udał się do posła francuzkiego kardynała Polignac, który z otwartemi przyjął go rękami i przepraszał za nieprzyjemności, które mu konsul wyrządził; przyczém zwrócił jego uwagę, że fakt wywiezienia broni z Marsylji z wiedzą jego rządu i w celu walczenia z bisurmanami, mógłby się stać niebezpiecznym dla dyplomatycznych stosunków jego państwa z Portą, gdyby Wolski dostał się do niewoli, zwłaszcza że świeżo zawarty został traktat przyjaźni pomiędzy Francją a Turcją. Broń i rzeczy które mu zabrali, kazał kardynał zwrócić na wstawienie się Klementyny, królowéj angielskiéj, córki królewicza Jakóba, mieszkającéj naówczas w Rzymie.

Wkrótce po jego przybyciu umarł w Rzymie Benedykt XIII, więc opisuje Wolski obszernie uroczystości pogrzebu zmarłego i obioru nowego papieża. Duch niespokojny młodego wędrowca nie dozwalał mu długo spoczywać na jedném miejscu, krzyżowały się w jego głowie obszerne plany coraz nowych podróży i niebezpiecznych wypraw. Po całorocznym pobycie w Rzymie wyruszył znów Wolski na wschód; celem teraźniejszéj jego podróży miały być Indje Wschodnie, a najprzód chciał poznać Konstantynopol i zwiedzić powtórnie Jerozolimę. Skoro przybył do Carogrodu, wypadła okoliczność która go skłoniła do zaniechania ułożonego w Rzymie planu; poznał patrjarchę babilońskiego chaldejczyków z Mezopotamji Józefa III, który był w niewoli tureckiéj i w najopłakańszym znajdował się stanie. Widok starca prześladowanego od turków i pogrążonego w nędzy poruszył do łez Wolskiego; jakoż tak mówi sam o tém spotkaniu. „Kiedy usłyszałem z ust patrjarchy, jak liczne prześladowania, szyderstwa i niezliczone krzywdy poniósł za wiarę katolicką od syzmatyków i turków, postanowiłem gorąco wyrwać go z téj niedoli nie zważając na koszta ani trudy podróży; w tym celu porozsyłałem najprzód listy z prośbą o pomoc do różnych chrześcijańskich książąt, mianowicie: do księcia Siedmiogrodu Rakoczego, który natychmiast pieniężny przysłał mi zasiłek, lecz że znaczne były koszta podróży a patrjarcha zadłużony był bardzo, zastawiłem własne swoje rzeczy i wykupiłem starca z niewoli, następnie za wstawieniem się posłów zagranicznych otrzymałem od cesarza tureckiego kartę na wolny dla nas obydwóch przejazd, tak więc za łaską Bożą wyruszyliśmy z Konstantynopola w ostatnich dniach Czerwca 1731 r. Najbliższą do Polski udaliśmy się drogą przez Rumanję i Bulgarję, gdzie liczne miasta napotykaliśmy po drodze, a przebywszy górę wysoką i rzekę Geras, wydostaliśmy się na płaszczyznę zamkniętą z jednéj strony górami a z drugiéj Dunajem; pamiętném jest to pole wielką klęską turków, którą im zadał nasz Władysław Warneńczyk, o czém świadczą po dzis dzień liczne bardzo mogiły poległych; miejsce to jest odległe o dwanaście dni drogi od Konstantynopola. Nad samém ranem przybyliśmy do wioski nad Dunajem, gdzie stoi straż turecka i cło od podróżnych pobiera, ale pokazawszy kartę wolnego przejazdu od sułtana, uwolnieni zostaliśmy od téj opłaty. Ztąd w przeciągu czterech godzin stanęliśmy w Galaczu, które to miasto niegdyś bogate i piękne dziś zupełnie zrujnowane, ma domy drewniane, za wyjątkiem czterech murowanych kościołów; jest własnością księcia Wołoskiego. Z Galaczu podążyliśmy do Jass, miasta stołecznego Wołoszczyzny, która jest obecnie prowincją turecką; książe musi być wyznania greckiego i jest obierany przez Portę, a wybór pada zazwyczaj na tego, kto więcéj da pieniędzy; władca ten czyli namiestnik sułtana, obowiązany jest nadto płacić corocznie znaczny haracz cesarzowi. Ziemia Wołoska poprzerzynana jest wysokiemi górami i gęstemi zapełniona lasami; nim dojechaliśmy do Jass doświadczyliśmy często w drodze wielkiego braku wody, to téż zobaczywszy studnię, rzuciliśmy się wszyscy pospiesznie, ażeby zaspokoić pragnienie, przyczém pewien niegodziwy turek zamierzył się na mnie nożem i gdybym nie ustąpił mu z drogi, prze-

biłby mnie niezawodnie. W Jassach znajduje się tylko jeden kościół katolicki Franciszkanów, wszystkie inne są greckie. Przed kilkoma laty był tutaj pożar, w skutku którego spłonęły niektóre domy, książe wołoski, chcąc pochlubić się z wielkości i bogactwa swojéj stolicy, rozpisał okólniki do wszystkich europejskich dworów z doniesieniem, że tysiące domów i wspaniałych pałaców spłonęło w Jassach, gdy tymczasem wszystkim znającym jeografję, zwłaszcza tym którzy podróżowali w tych okolicach, dobrze wiadomo że domy w Jassach więcéj do nędznych chat i lepianek niż do pałaców są podobne. Przodkowie Wołochów pochodzą z Włoch, zkąd przez cesarzów za bunty, rozboje i złodziejstwa do tych miejsc leśnych i pustych wysyłani byli; po drodze napotykaliśmy wiele miejsc pamiętnych bitwami naszych ojców z turkami i tatarami.

Skoro przybyliśmy na granicę Rzeczypospolitéj, ujrzeliśmy najprzód słup ogromny w kształcie piramidy zbudowany, z herbem u góry prymasa Polski jw. Potockiego, niby godło najpierwszego urzędu w kraju. Trzydzieści dni upłynęło od wyjazdu naszego z Konstantynopola, a przez cały czas téj podróży nocowaliśmy pod otwartém niebem, mile więc powitaliśmy pierwszą gospodę w mieście Horodence, dość ludném i w pięknéj okolicy położoném. Odpocząwszy trzy dni w rzeczoném mieście wyruszyliśmy w drogę ku Kamieńcowi; skoro przeprawiliśmy się przez rzekę Dniestr, żołnierze polscy postawieni na straży granic, sądząc z ubioru patrjarchy i kilku moich służących, wzięli nas wszystkich za turków, lubo im pokazałem kartę wolnego przejazdu od Horodeńskiego urzędu, a kiedy się ozwałem że jestem polakiem i zacząłem przekładać ażeby nas puścili, zaczęli łżyć nas i dobyli pałaszy; dopiero kiedy nas odprowadzono do Żwańca i pograniczny starosta przeczytał naszą kartę, za jego rozkazem, wypuszczeni zostaliśmy na wolność. Zaledwie przybyliśmy do Kamieńca wybiegł naprzeciwko nas dawny mój znajomy jezuita Krusiński, missjonarz perski, ten sam, z którym spotkałem się już raz w okolicy Jerozolimy; lubo dość długi czas strawił on w Persji i znajdował się przy dworze króla perskiego, nikogo jednak nie nawrócił, ale napisał tam książkę o wojnach i rewolucjach perskich i egzemplarz tego dzieła w łacińskim i tureckim języku dedykował wielkiemu wezyrowi tureckiemu; poznał on także patrjarchę babilońskiego



Zkąd jesteś rodem? — Jestem Polakiem, — Na to on: polacy żyją w bojaźni Bożéj i są dobremi chrześcijanami.

w czasie podróży po wschodzie i w mieście Djarbeki w Mezopotamji, przez dni kilka podejmowany był w jego domu gościnnie. Ojciec Krusiński serdecznie powitał szanownego patrjarchę, zaprosił go do jezuickiego kollegjum, w którém przez dni trzy pozostawał i podejmowany był hojnie. Znajomy nasz missjonarz opowiadał o przykrościach, których doświadczał w powrocie z Jerozolimy do Polski, w braku bowiem pieniędzy, musiał pasać wielblądy turkowi, ażeby zarobić na kawałek chleba, że zaś miał przy sobie perły i inne drobiazgi, które chciał przywieść do Polski, obawiał się ciągle grabieży i kiedy karawana zatrzymała się na nocleg, on żeby nie zasnąć zbyt twardo, kładł głowę na kamieniu i w rozmaity sposób dręczył swoje ciało.

Z Kamieńca wyjechaliśmy do Złoczowa, w którym mieszkał n. królewicz Jakób Sobieski; przyjął on zacnego gościa z godnością prawdziwie królewską, a przy wesołéj i sutéj uczcie okazał nam wiele dowodów pobożności i pokory chrześcijańskiéj; te to bowiem zalety czyniły go uprzejmym i poufałym w towarzystwie. Opowiadając o wypadkach mojéj podróży i o osobach które poznałem w Rzymie, mówiłem temu księciu o wielkich zaletach jego córki królowéj angielskiéj, którą cały Rzym jako wzór doskonałości chrześcijańskiéj podziwia i uwielbia. Po kilku dniach pobytu w domu gościnnego księcia, wyruszyliśmy do stolicy Rusi do Lwowa, dokąd zjechało się wielu senatorów i biskupów z okoliczności ślubu jw. Rzewuskiego podczaszego kor. z jw. Potocką, na którą to uroczystość zaproszony został patrjarcha, ja także, jako towarzysz podróży byłem przytomny temu obrzędowi i uczcie.

Skoro zasiedliśmy wszyscy około uginającego się pod ciężarem półmisków stołu, miejsce obok patrjarchy zajął poseł tatarski, którego zaprosili także na tę uroczystość. Potrawy roznosili różne i wino nalewali ciągle w puhary, ale kiedy wszyscy goście raczyli się i zapijali wesoło, zauważał patrjarcha, że sąsiad jego poseł tatarskiego hana, siedział smutnie i nic jeść ani pić nie chciał, zapytał go więc o przyczynę, na co tenże odpowiedział natychmiast, że bez końskiego mięsa nié ma dla niego biesiady, najwymyślniejsze bowiem potrawy nie smakują mu wcale; patrjarcha zganił mu smak tak niedorzeczny i barbarzyński, ale tatar nic już nie odpowiedział i jak pniak do końca uczty siedział."

Po skończonéj wieczerzy przedstawiał Wolski swego patrjarchę wszystkim po kolei biskupom i senatorom, opowiadał jako tenże kapłan wycierpiał wiele prześladowań od turków i jako zaciągnął znaczne długi na wykupienie niewolników chrześcijan. Powieść ta poruszyła serca obecnych, złożyli składkę pieniężną, dostarczyli mu przyzwoitą odzież, przygotowali nakoniec kolasy i konie do podróży. Trzej lwowscy arcybiskupi, obrządku łacińskiego Skarbek, rusińskiego Szeptycki i ormiańskiego Augustynowicz, dzień po dniu podejmowali patrjarchę babilońskiego hojnie i obsypywali go darami; nakoniec kasztelan krakowski, książe Wiśniowiecki Korybut, przyłożył się także do tego dzieła, by ze czcią należną wyprawić chaldejskiego arcypasterza do Rzymu. W chwili kiedy Wolski widział spełnione swoje zamiary i wynagrodzone trudy, doświadczył ciężkiego zawodu, albowiem patrjarcha nagle odsunął się od niego i wybrał sobie innego kapłana, który mu towarzyszył w drodze ze Lwowa do Rzymu. Wolski zawiedziony srodze przez patrjarchę, który mu nie podziękował nawet za doświadczone dobrodziejstwa, rozwodzi żale na intrygi, których padł ofiarą; nie przyznaje się jednak ażeby podejrzewał o fałsz lub brak charakteru człowieka, którego sprawę popierał tak gorliwie, my zaś sądzimy o tém inaczéj, zważywszy że patrjarcha nie tylko bez żadnego powodu odsunął się od Wolskiego, ale nadto wyraźnie go unikał ażeby nie zwrócić zaciągniętego długu. Wkrótce za patrjarchą wyjechał do Rzymu Wolski, ale szanowny arcypasterz zadrwił z niego widocznie, bo raz tylko bardzo uprzejmie przyjął go u siebie i wiele rozmawiał o podróży, zamilczawszy zupełnie o pieniądzach, a dowiedziawszy się że jego wierzyciel robi starania u papieża w celu odzyskania zaliczonéj mu w Konstantynopolu kwoty, nagle wyjechał z Rzymu. Uzyskawszy błogosławieństwo od papieża Klemensa XII wyruszył nasz pielgrzym do Wiednia, a tam znów spotkał się

z zagadkową postacią patrjarchy, który wszędzie zaciągał długi, w tym celu bowiem miał posłuchanie u cesarza i pożyczył od niego 600 florenów, kiedy zaś Wolski upomniał się o zwrot pieniędzy, patrjarcha wymawiał się niemożnością, nareszcie Szembek, poseł Rzeczypospolitéj polskiéj wziął na siebie rolę pojednawcy i stanęła ugoda na tém, że część długu odebrał wierzyciel i dał pokwitowanie całkowite.

Opowiadanie kończy się w 1731 r., a chociaż autor obiecuje zaspokoić w dalszym ciągu ciekawość czytelników co do zamierzonych na przyszłość podróży, jeżeli takowe przyjdą do skutku, nie pozostawił nam jednak drugiego dzieła, jakkolwiek wiemy, że dziennik téj pielgrzymki był dopiero wstępem do pełnego przygód życia; może więc zgiełk i trudy wojennego obozu wytrąciły Wolskiemu pióro z ręki i pozbawiły nas téj drugiéj części pamiętników, która dla pisarza historycznéj powieści ważnym mogłaby stać się materjałem.

Wł. Chomętowski.

WIEDEŃ NA POCZĄTKU BIEŻĄCEGO STULECIA. [1]

(Dalszy ciąg.)

O czwartéj szedł do ujeżdżalni gdzie sam ćwiczył ulubione swoje wierzchowce; następnie do swego gabinetu gotowalnianego, siadał u lustra i kazał się godzinę ubierać i trefić, co nie czyniło toalety jego więcéj staranną. O siódméj siadał do stołu, poczém przyjmował ciało dyplomatyczne, znakomitszych cudzoziemców i dygnitarzy państwa do g. 10téj. Rozmowa u stołu była wesoła i lekka, książe jako dyplomata lubił mówić o niczém, a nawet byłby z natury wiele mówiącym, gdyby głuchota któréj w końcu życia uległ, nie utrudniała mu rozmowy. Miał jeszcze jeden zwyczaj nader dla drugich nieprzyjemny, po czarnéj kawie przynoszono mu całą kolekcję szczoteczek i innych narzędzi któremi sobie zęby chędożył i czyścił w obec gości. Kaunitz nie lubił antypatycznie francuzów. Dnia jednego mówiono w jego obecności o dziennikach i pamfletach wychodzących we Francji. *Co do mnie* rzekł *ja jeden tylko z nich lubię, bo według mnie najstosowniejszą nosi nazwę; ah! que les Français sont bêtes!....* rzeczywiście był kiedyś pamflet, który we Francji przez jakiegoś malkontenta pod tą nazwą wyszedł.

Monarchowie którym Kaunitz służył, chętnie mu jego dziwactwa wybaczali. Książe Kaunitz Ritterg umarł w Wiedniu roku 1794. Z okoliczności wzmianki o cesarzu Józefie II muszę tu przytoczyć o nim jednę anegdotę dla tego, żem ją nigdzie drukowaną nie widziała. Gdy na kilka lat przed śmiercią zwiedzał Francję, ktoś z jego dworzan zapytał czy nie zboczy do Fernay dla odwiedzenia Woltera, gwiazdy przed którą wówczas nie tylko Francja ale cała Europa klękała?... *Nie dość mi on znany*, rzekł z pewną rubasznością cesarz. Te wyrazy w ustach Józefa II słynnego ze swoich dążności do wszelkich reform i nowości wię-

[1] (Przyp. Red.) Przy kończeniu druku wyjątków ze wspomnień pani S. G. odebraliśmy następującą reklamę autorki z życzeniem aby zamieszczoną została *w Kółku*: „Artykuł powyższy którego początek dotyczy li młodocianych wspomnień moich, mógł być o tyle tylko przeznaczonym do druku o ile uczynioneby w nim zostały potrzebne zmiany. Szczegóły z życia osobistego, jako nikogo obchodzić niemogące, byłyby wtedy wyłączone jak wyłączone zostały dawniéj, w części Pamiętników drukowanéj w Bibljotece Warszawskiéj. *Wspomnienia o Wiedniu* dostały się przypadkowo do Redakcji *Kółka Domowego* i mimo wiedzy mojéj wydrukowane zostały. Wywołały też niezadługo sprawiedliwe i bezstronne uwagi w gazecie Warszawskiéj. Wina tego jednak na mnie spaść nie może tylko na *Redakcję Kółka*.“ Uczyniwszy zadość życzeniom szanownéj autorki dodajemy jeszcze, że niezmieniamy zdania naszego co do zajmującéj treści wydrukowanych przez nas urywków z pamiętnika i sądzimy że czytelnicy nasi zawdzięczać nam będą że obdarzamy ich znowu utworem tyle zawsze sympatycznego dla nich pióra.

céj wówczas znaczyły jak całe tomy krytyki. Wiadomo że cesarzowa Marja Teressa żyła w latach swojego panowania w nadzwyczajnéj pobożności, która wpływała, nawet na wiele wewnętrznych urządzeń państwa. Nie przestawała ona syna strofować za jego religijną obojętność w sposobie cierpkim i surowym, nawet już gdy został obrany cesarzem Rzeszy, co głównie przyczyniło się do niechęci którą monarcha ten okazywał dla religji i do późniejszych reform które dotąd jeszcze brużdżą w sprawach duchowieństwa i organizacji kościoła w Austrji. Cesarz Franciszek z natury pobożny, rzeczy wszakże utrzymywał *in statu quo*, to jest w zupełnym prawie rozprzężeniu stosunków Kościoła ze Stolicą Apostolską. Ten monarcha nie nawidził wszelkich reform i zmian, wolał częstokroć cierpieć niedogodności, niż im przez jakąś zmianę zaradzić. Ta stałość w nawyknieniach przebijała się w małych jak w wielkich rzeczach, od kwestji żywotnych bytu państwa i jego urządzeń, aż do błahych drobnostek dworskiéj etykiety. Dom austrjacki tyle skromny i prosty w swych nawyknieniach miał dnie swojéj nieubłaganéj etykiety która za cesarza Franciszka z całą ścisłością wykonywana była i to bez względu nawet na wielkie burze polityczne które nie raz spokojne jego panowanie zawichrzyły. Często się zdarzyło że przed jakim *bal paré* u dworu, dowiedziano się o jakiéjś wielkiéj klęsce, bitwie przegranéj, o obcém wojsku zbliżającém się do stolicy, dla tego bal się odbywał w swoim czasie. Te wielkie okazje etykiety gdy przejdą, dwór i arcy-książęta znów powracają do swojego skromnego prywatnego życia, uczęszczają nawet bez ceremonji i etykiety do domów prywatnych; ten zaszczyt nie raz spotkał pewną liczbę cudzoziemskich rodzin w Wiedniu czasowo przebywających. Z tego powodu przypominam sobie okoliczność, która tę dążność domu austrjackiego wybornie maluje. Jedna z polek naszych, jenerałowa *** udając się z Warszawy w roku 1831 do męża w Lintz przebywającego, zatrzymała się czas jakiś dla paszportowéj formalności w Wiedniu. Wieczorem dla rozerwania nudnych chwil wyczekiwania pojechała do teatru, gdzie dawne stanowisko jéj męża i sława jego wojennéj nieustraszoności, powszechną na nią ściągnęła uwagę. Za ukazaniem jéj się w loży, słowa *die Frau des General*...... z ust do ust przebiegały, wszystkie lornetki więcéj na nią niż na scenę zwrócone były. Arcy-księżna Zofja matka dzisiejszego cesarza zapragnęła ją bliżéj poznać. Po poprzedniém jenerałowéj zawiadomieniu zjechała się z nią nazajutrz w wieczór do jednego z polskich domów gdzie przy herbacie i nader interesującéj i ożywionéj pogadance, bez żadnéj etykiety jenerałowa z rozkazu arcy-księżnéj musiała w najdrobniejszych szczegółach opowiedzieć różne wypadki których świadkiem była. Wysokie stanowisko i duma rodowa które w Austrji jeszcze nie wymarły, nie zależą tam bynajmniéj na tém aby niższemi od siebie pogardzać, to jest wcale się z niemi nie wdawać. W Polsce każden majętniejszy szlachcic, ciśnie się do sfer wyższych, tłomacząc się sam przed sobą że to robi z obowiązku, z konieczności, dla zapewnienia dzieciom *stosunków* tak nieodzownie w życiu potrzebnych. W Niemczech i mniéj więcéj we Francji i Anglji uznają konieczność jakiéjś jednolitości, harmonji w społeczeństwie, ta potrzeba ściąga się albo do etykiety, to jest do jakowegoś urzędowego położenia, które w pewnych razach ma swoje konieczne wymagalności, lub też jedynie do osobistéj wartości. U nas dla niektórych pieniądz wszystko równa i niweluje, nie pytają jak kto myśli, czuje, co umie, jakie jest jego życie i uczynki, ale co ma?..... jak ma salon umeblowany, ilu ma lokai, czy jeździ karetą? Czasami stosunki choćby nawet rodzinne i najbliższe, utrzymują się jedynie przy równości majątku. Niechby np. ktoś przyjechał dorożką do swojego krewnego co ma powóz, niechby jego ubiór był mniéj wykwintny i bogaty, niechby nie umiał czysto i płynnie po francuzku a lokaj jego nie był ubrany w długi surdut angielski i kapelusz z galonem; *równość* ta *si ne qua non* potrzebna do utrzymania stosunków. Bogatszy krewny daje obiady i wieczory na które uboższego nie prosi, a prosić nie może gdyż harmonja i jednolitość są nieodzowne w każdym

przyzwoitym i eleganckim salonie. Bywa często że odepchnięty krewny część majątku stracił w skutku wydarzeń od woli jego i prowadzenia niezależnych, że jest sam z siebie nieposzlakowany a nawet nie bez pewnéj zasługi, że powierzchowność ma szlachetną a nawet dystyngowaną. Cóż z tego, ale nie przyjechał karetą a biedą swoją po ulicach świeci, co jest zawsze bardzo dla krewnych jego przykre a nawet wstydzące. Nie można go widywać ani u siebie ani w zgromadzeniu, można sobie pozwolić tylko czasami w jego domu cichaczem go odwiedzić. Jakie z tego następstwo?... oto że mimo chęci *zawiść* wkrada się w serce obżałowanego. Tegoż ja to, mówi sam do siebie, doczekał, aby ten człowiek który przecież jeżeli nie mniéj to nie więcéj odemnie wart mnie się wstydził. Za co? Czym ja majątek przepił, przegrał, przejadł, czyż moja żona i córka źle się prowadzą? I ten nieborak który w dawnych rodziny stosunkach kiedy jakaś solidarność wszystkich jéj członków łączyła, byłby błogosławił wywyższenie swojego krewnego, dziś mu złorzeczy, bo widzi w niém dla siebie źródło goryczy, przykrości, upokorzenia, osamotnienia, bo czuje się być wydziedziczony z rodzinnych związków będących taką pociechą i osłodą w życiu. Tak to jedno złe prowadzi za sobą drugie. Z jednéj strony spanoszony krewny nie znający już krewnych bo ich się wstydzi, z drugiéj mniéj od losu uposażony i zazdroszczący mu a przez to ciężko Boga obrażający. Otóż to się mniéj daleko za granicą powtarza. Tam stany są mniéj więcéj uwydatnione. Każdy że tak powiem krąży w swojém właściwém kółku nie zbaczając na krok z naznaczonego sobie stanowiska. U nas to słowo *szlachcic* ma bardzo dowolne i rozległe znaczenie. Niech szlachcic ma majątek, może stanąć na równi z najznakomitszemi w kraju domami, czyli inaczéj mówiąc zyskać prawo gardzenia swojemi aby się piąć do tych co znów nim lubo po cichu i oględnie gardzą. Nie pochwalam zwyczaju w Wiedniu istniejącego, a we Francji od niepamiętnych czasów za starszéj linji Burbonów, że trzeba było mieć pewną ilość herbów, to jest pokoleń szlachectwa za sobą aby zyskać prezentację u dworu. [1]). Dziś każdy jest tam przypuszczony kto tylko może sobie kupić suknie aby w nich wystąpił i karetę aby w niéj zajeżdżał. Wyznaję otwarcie że wolę jeszcze hołdować herbom jak złotu, herb nosi w sobie ideę jakiéjś wielkości, zasługi, nieustraszoności w boju, waleczności, a złoto ileż razy brudem przodków skalane?.... Wielki pan rzadko kiedy gardzi uboższym krewnym, bo w jego stanowisku wiele rzeczy mu uchodzi nawet dobroć i poczciwość serca. Dorobkowicze i półpanki są w dumie swojéj nieubłagani i najzatwardzialsi.

Mówiliśmy tedy że w Wiedniu etykieta i duma rodowa są jak to mówią po prostu u nas, *od wielkiego dzwonu*. Są u dworu pewne dnie naznaczone do przyjęcia, do uroczystości i w takowych wszystkie tradycje są z największą ścisłością zachowane. Na tych uroczystościach jest zachowana wielka powaga i majestatyczność. Nie jest to duma, są formy utrzymujące pod pewnym względem węzły towarzyskiego porządku. Panuje tu większe bogactwo w ozdobach i djamentach kobiet, w ekwipażach, a przecież nie jest to czcza rozrzutność, gdyż te djamenty, te klejnoty istnieją w rodzinie od kilku wieków, moda tylko ich kształty przerabia. Bracia i inni krewni cesarza służą wszyscy po największéj części w wojsku a czasem w stopniach cywilnych. Arcy-książęta Karol i Jan w czasie naszego pierwszego w Wiedniu pobytu, byli najpopularniejsi u publiczności wiedeńskiéj. Cesarzowa, czwarta z rzędu żona panującego monarchy, dziś jeszcze żyjąca, słynęła z wielkiéj dobroci, ale żadnego nie miała wpływu. W ogóle panie austrjackie począwszy od najwyższych sfer oddane są wyłącznie domowi i dzieciom. Nie raz widywano je zdejmujące dworski ogon, starannie chowające do osobnego pudełka order gwiazdzisty Marji Teressy i podkasawszy ręka-

[1]) Co dało słynnemu z dowcipu księciu de Ligne sposobność powiedzenia najdowcipniejszego z jego nader dowcipnych wyrażeń. Na jednéj dworskiéj uroczystości gdzie znajdował się gdy księżyc był w pełni, widziano go ze skwapliwością okiennice zamykającego i zapytano o przyczynę. *Ne le voyez vous pas, la lune qui a àpeine quatre quartiers se permet de prétendre aux entrées de la cour.* (Przyp. aut.)

wy zaglądające do kuchni aby pomagać kucharzowi. Sam cesarz mało się zajmował sprawami państwa, które w całości powierzał pierwszemu swojemu ministrowi księciu Metternich. Przed Metternichem takim ministrem był Cobentzel którego Napoleon obwiniał o zbyt wielką uległość widokom Anglji.

Jest zwyczaj etykietalny dworski że w Wielki Czwartek cesarz myje nogi dwunastu starcom a cesarzowa dwunastu kobietom, w następny zaś poniedziałek wielkanocny ubodzy ci zasiadają do stołu przyrządzonego w jednéj z sal zamku cesarskiego (Burg-Schlos) a cesarstwo oboje usługują im do stołu w obec publiczności przyglądającéj się temu widokowi z za balustrady umyślnie na ten cel przygotowanéj. Zwyczaj ten powszechnie po dworach prawie wszystkich europejskich monarchów praktykowany, w Wiedniu najdłużéj się utrzymał i utrzymuje [1]) Jest to ceremonja jak wszystkie inne i nic więcéj tylko ceremonja, ale i ta miła jest dla oka. Ten akt pokory w tych, których przywykli jesteśmy oglądać na szczycie wielkości, jest przez samą formę budujący. Pokora z potrzeby, z ubóstwa, z interesu, jest przykrym widokiem, ale pokora z zasady o jakże jest wielką i szczytną!... Przy téj ceremonji cesarz ubrany jest w mundur biały jeneralski z łańcuchem orderu złotego runa. Cesarzowa w sukni dworskiéj z ogonem, otoczona arcy-księżniczkami i damami pałacowemi. Jest to tylko ceremonja gdyż ubodzy potraw nie konsumują na miejscu, ale w garnuszki umyślnie na to przyrządzone kładą i do domu zabierają.

W Boże Ciało odbywa się wszystko uroczyście. Celebruje arcy-biskup na czele wszystkich zakonów i proboszczów miasta i innych księży. Za Najświętszym Sakramentem postępuje cesarz, cesarzowa, rodzina cesarska, ministrowie i dwór, halabardziści służbę pełnią. Sznury baldakinu trzymają szambelanowie poprzedzeni przez panów z pochodniami. Kawalerowie złotego runa w swych kosztownych ubiorach asystują.

[1]) Na dworze austrjackim jest wielka mistrzyni dworu i damy pałacowe, te ostatnie jak na francuzkim dworze; dam honorowych, kamer frejlin nié ma. (Przyp. aut.)

Towarzystwo w Wiedniu jest jak wszędzie; można go przyrównać do wolno-mularstwa, ma ono ściśle oznaczone jednakie swoje formy. Wszakże w Wiedniu te formy mają pewną podstawę opartą na dwóch rzeczach które *illuzyjnemi* wcale nie są, na olbrzymich majątkach i świetności historycznego imienia. Owe Lichtenstein'y, Kolowrat'y, Szwartzenberg'i, Wallenstein'y i bardzo wielu innych nosiły kiedyś lub noszą udzielne w Rzeszy mitry, a ich imiona dźwigały na swych barkach sławę wieków średnich. Ale też im potrzeba oddać sprawiedliwość że hierarchiczna zasada szlachectwa jako żywioł równoważący w harmonji układu społecznego, znalazł w nich godnych reprezentantów. Pojęli oni ciążące na nich obowiązki, jak je pojmowali dawni nasi panowie, kiedy królewskie prawie utrzymując dwory, hojnością, wspaniałością, dobroczynnością, popularnością, wynagradzali społeczności swe wyjątkowe położenie. Niech mnie tu nikt nie obwinia o bezwarunkową apoteozę dawnych panów polskich. Dźwigają oni na swych barkach ciężką odpowiedzialność za naszą przeszłość: zbytek, lenistwo i owa nieszczęśliwa zagranica, wiele do nieszczęść naszych się przyczyniała. Ale i dzisiaj potomkowie ich mają te same narowy, wady, a nadto inne których tamci nie mieli, to jest egoizm, skąpstwo i ową manję robienia majątków. Pan powinien mieć pałace, ogrody, muzea, galerje, bibljoteki, dwór świetny, powinien dawać bale, uczty, skupiać koło siebie reprezentantów wszelkich stanów, bo to jest podatek jego stanowiska, a podatki wszyscy płacić musimy. Pan nie tak żyjący nie wart aby przed nim ktokolwiek uchylił kapelusz, bo cóż społeczeństwu z tego przyjdzie, że pałac swój zamknął, skąpo na różne podrobił mieszkania które za pieniądze wypuszcza, nikogo nie widuje, obrazu nie kupił, do polskiéj książki ani zajrzy i sam u siebie w pokoju zamknięty czyta Taimsa lub romans pani Sand, albo gdzieś w Wiedniu, Paryżu i Londynie, w skromném mieszkaniu jakiego hotelu siedzi jak zaklęty. Czyż mu się winno hołdy dla tego że ma kilka miljonów intraty z których nikomu nic nie przyjdzie, lub że się nazywa *tak* a nie *inaczéj* i zasłużone kiedyś nazwisko na wielkich i nie-

zbitych krajowi usługach szarza w próżniactwie, egoizmie, cudzoziemczyznie i bezczynności.

Do r. 1848 Wiedeń był może jedyną europejską stolicą gdzie zastosować się dało stare polskie przysłowie: *poznasz pana po cholewach*, w Wiedniu poznajesz panów po ich pałacach, muzeach, gabinetach, bibljotekach, a jeżeli nie po zamkach, to po szpitalach, dobroczynnych instytucjach, go ścinności, hojności dla swoich i przybyłych. Widzieć tam było można reprezentantów staréj średnio-wiecznéj szlachty, których imiona nieskażone złemi dziadów i naddziadów postępkami, utrzymują się w całéj pierwotnéj czystości i dar ten jeżeli go dziś darem nazwać można, okazują powierzchowném obejściem.

Długo towarzystwo wiedeńskie zachowało wszystkie dawne powierzchowne swe oznaki, mianowicie w ekwipażach. Podczas naszéj bytności można n. p. widzieć było na Praterze sześcio-konne pojazdy lśniące od złota i jedwabiu których koła całkowicie w ogniu złocone, stangret w peruce drewnianéj lakierowanéj mającéj niby naśladować puder, a kształt téj peruki był jeszcze *aile-de-pigeon*, jak z czasów Ludwika XV, kozioł w kształcie podwójnego taboretu bez poręczy, nakryty suknem albo też z perskiéj materji dywanem. Przed końmi biegł laufer w czapeczce okrągłéj aksamitnéj, lub atłasowéj galonem złotym obszytéj, trzema strusiemi piórami zdobnéj, kurteczce aksamitnéj lub jedwabnéj, stósownie do pory letniéj lub zimowéj, pończochach jedwabnych i półbucikach złotem haftowanych. Trudne to jest rzemiosło tych laufrów którzy według statystycznego wyrachowania nigdy wieku 40 lat nie przechodzą i zawczasu umierają. Laufer pani hrabiny de Colloredo którego osobiście znałam, wzięty za młodu z jéj majątku i kształcony do tego rzemiosła, cienki, wysmukły lekki, fertyczny (gdyż takich tylko dobierają) we trzy lata po przyjeździe z Czech, zachorował na chroniczną chorobę i we trzy lata w największych cierpieniach skonał. Od jego śmierci pani de Colloredo już laufra nie miała; zwyczaj ten potrochu ustawać począł. Ale peruki stangretów dłużéj jeszcze trwały. Na tych perukach które były wszystkie z harcabami, na wierzchu kładł się kapelusz stosowany a czasami jeszcze i trójgraniasty z galonem. Wiedeńskie towarzystwo jest grzeczne aż do uniżoności, akuratne aż do znudzenia. Nié ma przykładu aby ktoś proszony na obiad lub wieczór nie stawił się na umówioną godzinę; nie doszedł tam zwyczaj nakazujący przyjmować za dobry ton lekceważenia drugich lub własnego słowa. Tam słowo dane w wielkich i małych okazjach jest rzeczą świętą. Własność jest szanowana aż do przesady. Będąc w Baden u pani Colloredo zdarzyło mi się zgubić bukiet zwiędłych kwiatów. Na drugi dzień strzelec hrabiny odniósł mi go, prawda że nie miał daleko chodzić, gdyż ona zajmowała pierwsze piętro domu, którego dół zamieszkiwali moi rodzice. Bilety zapraszające są zwyczajnie pisane w języku francuzkim, pod spodem zaś w rodzaju postscriptum z boku umieszczoném, w gockim drobnym charakterze jest to samo zaproszenie po niemiecku napisane. Jak zwykle godzina jest wymieniona czwarta na obiad, ósma na wieczór. Wszakże te godziny zmieniają się stósownie do zwyczajów domów. Zwyczaj francuzki układania potraw na stole w tak zwanych *premier service*, *second service*, *dessert*, tu w najwyższych nawet sferach nie doszedł. Kuchnia jest francuzka ale potrawy już gotowe z kuchni przyniesione są obnoszone tak jak u nas, jedna po drugiéj w chwilowych przedziałach, kolacja wieczór. Brzydki zwyczaj zachodni mycia ust po desserze jest tu zdawien dawna znany i zachowany, przypadł on bardzo do smaku niemieckiemu ochędostwu i systematyczności, tu nawet bardzo przesadzają się w guście i elegancji naczyń do tego użytku służących. Miedniczki i nalewki w starych domach są w powszechności złocone *(en vermeille)* prześliczną filigranową robotą, w domach zaś modniejszych, z najpiękniejszego czeskiego szkła w różnych kolorach, tak że w liczbie osób stu siedzących przy stole, każda ma odmienną miedniczkę i nalewkę. W ogóle w domach staroświeckich zamożnych, nakrycie całe jest ze srebra złoconego, a zawadzi się czasem desserowe szczero-złote z herbami wypukłemi. Nie mogę znieść zwyczaju francuzkich obiadów, który we-

dług mnie nie jest nawet gościnny, gdyż 12 potraw ma się razem naprzeciw siebie a często głodnym się od stołu wstanie. Nie zgadza się to jakoś z delikatnością polską. Wcale to co innego brać z półmiska samemu gdy kolej nadejdzie i coś z każdéj potrawy które następują jedna po drugiéj, a co innego albo sobie samemu brać ze stołu, albo czekać aż gospodyni, *maître d'hôtel*, lub lokaje innych obsłużą gości. Jedną także z wielkich niedogodności takiego rodzaju *ucztowania* jest, że z najpiękniejszego ubrania stołu pozostaje *nic*, dla tego też francuzi na lody, czarną kawę i *chasse-café* ustępują do salonu. Tak w Wiedniu jak u nas przesadzają się w ubraniach stołu, wazonami, kwiatami, zwierciadłami, kandelabrami, misternéj roboty bronzami i srebrami; francuzi całe stoły zastawiają potrawami, ich obiad proszony daleko podobniejszy do naszych śniadań i kolacyj jak do obiadów. Z téj więc strony zwyczaje w Wiedniu są do nas daleko więcéj zbliżone jak francuzkie.

Gościnność w Wiedniu nie jest tak szczera, wylana jak u nas. Wielkie panie austrjackie nie są jak powiadam dumne, ale mają ten rodzaj powagi który wszelkie manifestacje tego rodzaju oddala. Jeżeli jesteś proszony na obiad masz wszystkiego poddostatkiem, ale nikt się nie troszczy czy jesz lub nie. Systematyczność jest tak wielka że choćby tylko kto zaprosił jednę osobę na obiad, nigdy na nią nie czeka, ale ta nigdy na siebie czekać nie da, gdyż w razie niemożności każe się tłomaczyć *(faire ses excuses)*. Był raz taki wypadek że ktoś zaproszony do hrabiego Stadiona spóźnił się o minut pięć. Wprowadzono go do jadalnéj sali gdzie już dojadano zupy. „Cóż to panu“ rzecze gospodarz, „już się lękałem czyś nie uległ jakiemu wypadkowi!.....“ — „W rzeczy saméj“ odrzecze zagadniony, „uległem przykremu wypadkowi, przed dwiema godzinami rękę złamałem.“ Dopiero spostrzeżono że miał przez ramię przeciągniętą chustkę i na téj ręka chora spoczywała. Cecha charakterystyczna towarzystwa w Wiedniu jest różnorodność, składa się ono z niemców, węgrów, czechów, kroatów, bulgarów a nawet francuzów reprezentowanych tu przez kilka pozostałych imion z francuzkiéj Flandrji czyli Belgji pochodzących rodzin, jak *de Ligne*, *de Bellegarde* i innych. Wszakże w salonie pod czarnym frakiem, białą kamizelką, żabotami i francuzką mową wśród ukłonów i grzeczności wszystkie narodowości się równają, z wyjątkiem wszakże czasu dworskich uroczystości, wtedy niektórzy występują we właściwym swojemu narodowi kostiumie i to jeżeli posiadają dworski urząd który nie stanie na przeszkodzie. Tych ubiorów nie będę opisywać, znane one są powszechnie, szczególnie węgierski. Damy niemieckie odznaczają się zwyczajnie powagą i sztywnością. Jedną z cech charakterystycznych towarzystwa w Wiedniu jest to że nigdy nie mówią o polityce bądź swojéj bądź europejskiéj, nie wiele ich ona rzeczywiście obchodzi, gdyż ta jedynie dziełem jednego człowieka, to jest pierwszego ministra.

Teraz z wyższych sfer towarzystwa zejdźmy do niższych. Tu duch niemiecki jest jak się każdy domyśli wydatniejszy, a miejscem gdzie najłatwiéj ujrzeć go można jest Prater ów ulubiony wiedeńczyków spacer. Któż z moich czytelników nie widział a przynajmniéj nie zasłyszał kiedyś o Praterze? który choćby w nim nie był, nie znał go z tysiąca opisów wierszem i prozą, komu są obce owe świąteczne wiedeńczyków fizjonomje spokojnie siedzące pod cieniem drzew rozłożystych, na ławkach zielono lakierowanych? — Jest dwa Pratery; jeden dla klass wyższych, drugi dla wyrobników i ludu. Jedzie się dwoma drogami trzydziestoma krokami jedna od drugiéj przedzielonemi, tak że jadący mają inną drogę sobie wyznaczoną a powracający inną; jest to konieczne w miejscu tyle i tak powszechnie przez wszystkie klassy uczęszczaném. Park sam, rysunkiem, smakiem i utrzymaniem nie może się mierzyć z parkiem w Schönbrunn, ale jest nierównie obszerniejszy.

Wspaniały zwierzyniec dotykający brzegów Dunaju, mieści w sobie stada jeleni rozpierzchłych po okiem nie doścignych gazonach. Te zwierzęta perjodycznie w wieczornych godzinach uciekają w głąb kniei, uchodząc tym sposobem przed gruppami spacerujących którzyby mogli przeszkadzać swobodzie ich pląsów. Ta regularność godzin

spaceru byłaby niemożliwą w każdém innem niemieckiém mieście, ale wiedeńczycy jak wszyscy ich ziomkowie są nawet w swych zabawach nader metodyczni. U nich rozrywki są także policzone w poczet obowiązków, odbywają się w przyzwoitym czasie i godzinie, nigdy nie stają się nadużyciem. Prater jest codzień tém, czém są Bielany nasze w drugie święto Zielonych Świątek. Mały urzędnik, handlarz, rzemieślnik, ich żona, dzieci, czeladź ciągną tu co wieczór, stracić cząstkę przynajmniéj ciężko przez dzień zarobionego grosza, a przyszedłszy znajdują prawie co krok nowy rodzaj zabawy jak można najtańszy ale zawsze płatny. Tu monolog rozgniewanéj pani na swoję służącę, mimiką i znaczącemi giestami przekonywającéj o swym gniewie, pociąga jednych, tam znów kuglarz przedstawiający wojnę zająca z kotem, wabi drugich; gdzieindziéj naśladowanie kolei żelaznéj, lub okręt po powietrzu żeglujący, daléj akrobaci na linie, ciągną drewniane konie do najęcia dla dzieci. Nie naliczyłby przeróżnego kalibru wydrwigroszów tłumem się tu uwijających, a każdy ma odpowiednią ilość widzów i wielbicieli. Koło godziny 6téj każda prawie rodzina po ukończeniu dziennéj pracy, udaje się z podwieczorkiem lub kolacją w kobiałce do Prateru, gdzie czekają na nią pod cieniem rozłożystych dębów stoliczki, ławki, i namioty gościnnie ją przyjmujące. Tam mężczyźni przy piwie i koniecznéj fajce, kobiety przy pończosze' któréj kłębek na obręczy zielono lub czerwono malowanéj u ręki zawieszony patrzą spokojnie na wirujące przed sobą pary. W tańcu wiedeńczycy tę samą co w innych rodzajach zabaw zachowywają systematyczność. Ich walc ciągle obracany, jest wolny, poważny, patrząc na nich zdaje się że mniéj tańcują dla przyjemności jak ze zwyczaju a poniekąd z przyjemności. Zdarza się często że tanecznicy są gwałtownie rozdzieleni przez napływ publiczności, co im bynajmniéj nie przeszkadza do ukończenia zaczętéj figury którą w takim razie każda z tańcujących osób osobno odbywa. — *(Brigiden-fest)*. Corocznie odbywa się w Wiedniu w Lipcu uroczystość Śtéj Brygidy na pamiątkę odsieczy turków przez Jana Sobieskiego. Jak się każdy domyśli, miła nam była ta uroczystość i jakkolwiek już z okazji lipcowego gorąca, już téż z nieprzeliczonych tłumów osób udział w niéj biorących, nie wiele może w niéj nieświadomy i nawykły do niéj cudzoziemiec znaleźć przyjemności, nie omieszkaliśmy pośpieszyć do Prateru w dzień téj uroczystości, za przewodnictwem len-lokaja który nam obrał najlepsze miejsce do widzenia sztucznych bengalskich ogni illuminacji. W owym czasie 100,000 osób wylega do Prateru i tam przez dni trzy biwakuje pod namiotami a najwięcéj pod gołém niebem, jeżeli czas służy po temu. Nie podobna opisać kurzu, gorąca, ciżby, które tam zatruwają wszelkie przyjemności. Lud tylko pozostaje, mający zaś powozy ku wieczorowi powracają do miasta, a w téj chwili można widzieć do 3,000 pojazdów i tyleż fjakrów cztero i sześcio-konnych ciągnących z Prateru ku miastu w linji prostéj i ściśniętéj; tam téż widzieć można z pewnością najpiękniejsze i najwytworniejsze ekwipaże. Co zadziwiającego, że w tak wielkich massach panuje niczém niezakłócony porządek, zwłaszcza jeżeli weźmiemy na uwagę różnorodność stanów i narodowości co się tam zbiegają. Tu towarzystwo w powozach, średnie i najniższe klasy pieszo spotykają się i naprzeciw siebie stają, a mimo tego nigdy jeszcze żadnéj niebyło między niemi kolizji [1]). Zauważyliśmy w czasie uroczystości Śtéj Brygidy, że mało kto z wiedeńczyków domyśla się na jaką pamiatkę była ustanowiona. Weszła ona w obyczaj, mniejsza o jéj pochodzenie. Gdzie niegdzie prawie znajdą się tacy którzy nam z uczuciem opowiadali o bohatérze kraju naszego niektóre znane u nas szczegóły. Ku stronie Augarten jest Leopold-Berg (góra Leopolda) w kierunku główněj rzeki Dunaj, mały kościołek albo raczéj kaplica a około niego obelisk z marmuru czarnego, na nim na pół zatarty napis następujący: Na pamiątkę Jana IIIgo Sobieskiego, króla polskiego, który w tém miejscu odparł turków w r. 1688.

Jedną cechą charakterystyczną Wiednia jest rok ściśle podzielony na dwie półroczne pory, czyli tak nazwane sezony, zimowy

[1]) Tak się przynajmniéj działo do roku 1848.

i letni. Letni zaczyna się 1 Maja i trwa do 31 października zimowy 1 Listopada i znów trwa do 30 Kwietnia. Te dwie pory roku tak ściśle są odznaczone zwyczajem, czas zwykle tak zmienny w jesieni i na wiosnę na to nic wpłynąć nie zdoła. Pierwszy Maja i 30 Kwietnia tak są w Wiedniu do siebie nie podobne jak n. p. ulice zewnętrzne Neapolu i Tobolska. Trzydziestego Kwietnia mężczyźni i kobiety chodzą jeszcze w odzieży zimowéj, pełno futer, płaszczów na ulicy, stangreci ubrani w swoje ogromne peleryny futrzane, konie w koce, wtenczas kiedy dzień jasny, słońce dogrzewa, najpiękniejsza zieloność drzewa i krzewy w które Wiedeń obfituje, stroi. W pokojach zima zupełna. W czasie kiedy kilkanaście stopni ciepła na dworze w piecach palą w najlepsze, okna i drzwi opatrzone jak w Styczniu i jak w Styczniu jedynie dla odświeżenia powietrza otwierają codziennie lufciki. Jak tylko pierwszy Maja zawita, jakby czarodziejską laską dotknięte, futra, szale, płaszcze, gdzieś znikają; mężczyźni, kobiety, dzieci, starzy i młodzi przechadzają się w letnich sukniach, drżąc czasami od zimna bo w Wiedniu choć klimat nieco cieplejszy, przecież w Maju tak doskonale śnieg potrafi pruszyć jak u nas w Listopadzie. To nie przeszkadza że zwyczaj się utrzymuje. Przypominam sobie że wróciwszy z Baden i stanąwszy w tymże samym hotelu, już w drugiéj połowie października tak dotkliwie się czuć dały zimna, że mój ojciec zawołał hausknechta i kazał mu w piecu zapalić. Ten człowiek ogromne oczy zrobił, spojrzał na mojego ojca i uśmiechnąwszy się znacząco ale zawsze z pewną powagą, zabierał się odejść. „Czy mnie słyszysz?“ zawołał troszkę zniecierpliwiony jego szczególném obejściem mój ojciec, „pal w piecu bo mi zimno.“ — „Daruj pan, ale to żądanie pańskie jest niepodobne do wykonania.“ — „A to dla czego?“ — „Bo mamy jeszcze 12 dni do pierwszego Listopada.“ Na tém hausknecht stanął i niepodobna mu było wyperswadować że palić potrzeba kiedy zimno, nie czekając *urzędowego* powrotu zimy.

Kobiety w Wiedniu są urodziwe blondynki o dużém niebieskiém oku, koralowych ustach; stanowią one typ trzymający środek między dwiema przeciwnościami, to jest niemiecką sztywnością a miękkiemi formami kobiet południa, co je bardzo dla wielu ponętnemi czyni. O ile słyszałam w różnych epokach mojego tam pobytu, obyczaje ich nie są w ogóle wzorowe, co głównie przypisać należy brakowi oświaty i starannego wychowania

Kuchnia wyłącznie w Niemczech należy do kobiet, to też w niemieckiéj kuchni jest daleko więcéj czystości, schludności, niż w budoarach wielu lśniących od bronzów, jedwabiów i palisandrów niektórych elegantek. Niemcy którzy tak szalenie psów lubią, mają z tych zwierząt rzeczywistą pomoc gospodarską. Tam nie znają tych drobnych oszustw, każdy może się bezpiecznie spuścić na sprzedającego, zaczém wiktuały do codziennego użycia, to jest: bułki, chleb, mięso, kasza, cukier, piwo i t. p. rzeczy są skupowane i przynoszone do domu przez wyuczonych pudlów, którym daje się koszyk, a w nim pieniądze i one wszystko co trzeba od piekarza, rzeźnika i korzennika przynoszą. Zdarzyło mi się nie raz widzieć psa obracającego pieczeń, szczególniéj za pierwszéj mojéj tam bytności r. 1817 kiedy doskonała maszyna do tego użycia jeszcze w Niemczech nie była upowszechniona. Przypominam sobie że taką maszynę kupił mój ojciec w Wiedniu w celu użycia jéj w domu, była ona nadzwyczaj praktyczna, nakręcała się korbą i tak nakręcona jak zegar przez pół godziny sama przez sie obracała się; była niepospolitéj wygody w Wiedniu, gdyż oszczędzała nie tylko rąk do obracania pieczeni, ale i kosztów na utrzymanie psa, zwykle tę funkcją pełniącego, za pomocą koła obracanego nogami. Po powrocie naszym z Niemiec, widziałam tę maszynę popsutą i zardzewiałą lat kilkanaście leżącą w komórce bez żadnego użytku. Tak to co kraj to obyczaj. Nie mógł mój ojciec wyperswadować kucharzowi swojemu, że ręce można machiną zastąpić. Kazał sam robić w swojéj obecności doświadczenia ktore naturalnie w braku umiejętnych rąk do pierwszego użycia nie udawały się, co dawało panu Wałeckiemu powód do litościwego uśmiechu i podnoszenia ramion mówiąc półgębkiem: *to wszystko szwabskie wymysły.*

Umysłowe wychowanie niemek wyższych sfer jest więcéj jak u nas zaniedbane a to dla tego, że matki same nieumiejętne, zupełnie się umysłowém i moralném kształceniem córek nie zajmują. Zwyczaj francuzkich guwernantek jak u nas jest niestety praktykowany i jak u nas nie zawsze robią dobry pod tym względem wybór.

Teatr jest najulubieńszą wszystkich stanów zabawą. Jest ich w Wiedniu pięć znaczniejszych nie rachując kilku koczujących trup przedmieściowych i zamiejskich. Burgteatr (teatr zamkowy) jest teatrem dworskim. Aktorowie utrzymani są na koszcie rządu, wystawa świetna. Sala średniéj wielkości, wszystkie ławki i loże karmazynowym suknem wybite ze złotemi galonami, są białe z ozdobami złoconemi. Kobiety ubierają się w brylanty jak do dworu. Drugi także teatr na koszcie rządowym jest tam opera włoska i balet. Ten ostatni bywa czasami dobry a czasem i niegodziwy, to według tego jak potrafią dobrać włochów których przepłacają. Te dwa teatra są jedynie uczęszczane przez najwyższe klassy. Dla niższych są przeznaczone trzy teatra na przedmieściach Wiedeniu, Leopolsztadzie i Josephstadzie. Na ten ostatni uczęszczają najniższe klassy pospólstwa które także rade mieć swoje widowiska. Nié ma w Wiedniu teatru któryby jak to w innych niemieckich stolicach reprezentował ducha sztuki. Grają bez wyboru i metody wszystko co im w ręce wpadnie i w tych liczbie rzeczy najniemoralniejsze i nieraz tak nieprzystojne, że się dziwić potrzeba że takie widowiska w kraju katolickim cierpane być mogą. Trajedje zakazane, wielkie dramata nie w guście wiedeńczyków nawykłych do lekkiéj strawy i wesołości. Arcydzieła Schillera prawie nie znane lub przerobieniu uległe, zmienione i zepsute. Charakter, gusta, obyczaje ludu odbijają się w ich widowiskach. Ta powszechna reguła szczególnie w Wiedniu się widzieć daje. Wiedeń jest miasto gastronomiczne *par excellence*, zaczém idzie że nié ma prawie sztuki w ludowych a często bardzo i w rządowych teatrach, w któréjby nie jedzono na scenie. W czasie ostatniéj mojéj bytności w Wiedniu (1845) byłam na Josephstadzie na sztuce, któréj scena prawie cała odbywała się w brzuchu wieloryba. Wszystko doskonale naśladowane, wewnętrzny układ olbrzymiéj ryby, jéj wnętrzności, a nawet okienko zrobione w dolnéj jéj części, a którém kochanek i kochanka znajdujący tam schronienie przed jakimś zagniewanym wujaszkiem, wyglądają, łagodząc sobie jak mogą czas wygnania i deliberacji nad dalszym losem. W drugiéj sztuce wystawiano rewolucję kobiet przeciw tyraństwu i wszechwładztwu mężczyzn. Rewolucja odbywa się w całéj formie; obrażona w swéj dumie *płeć nadobna*, podnosi chorągiew buntu, obiera jenerała, oficerów i zamyka się w fortecy. Mężczyźni osamotnieni, pozbawieni *usług* do których przywykli deliberują nad swém trochę ambarasującém położeniem, *nié ma im kto gotować, nié ma im kto uprać i uszyć*. Łatwoby ich siłą przynaglić do posłuszeństwa ale bić się z kobietami jakoś nie wypada i nie pięknie. Biorą się tedy mężczyźni na sposób, chwytają się środka który nie wiele dowodzi bujnéj imaginacji. W obozie kobiet brak na pieniądzach (oczywiście kassa zwykle bywa u mężów). Puszczają mężczyzni sieć pełną cwancygierów, kobiety pociągnięte przez cudowny metal do którego jak widać i wiedeńczycy mają także pociąg, chwytają za sieć i tak jakoś się w niéj zagmatwały, że mężczyźni za pociągnięciem lin biorą do niewoli najzawziętsze, a w ich liczbie jenerała i jego adjutantów. Następnie zgoda, każdy mąż porywa za swoją połowicę i wszystko wraca do szczęśliwego porządku. O owém sławném Kasperle nic nie powiem bo naturalnie że tam nie byłam. Wiem tylko z opowiadania, że przechodzi wszelkie wyobrażenie co na nim wyprawiają. Teatr na Wiedeniu większy od Burg-teatru. Tu często odbywają się sztuki z prawdziwemi końmi i jeźdcami wojskowemi. Przy mnie dawano sztukę *rozbójnicy* (ale nie Schillera). Na scenie żandarmi gonili rozbójników, strzelali do nich, kilku ranili i ubili, konie już dobrze do tego nauczone uganiały się za niemi ze skały na skałę; skały są doskonale naśladowane, aż tu naraz wszystko znika, góry, skały, lasy, zamki i pokazuje się prawdziwa ulica przedmieścia a na niéj wojsko, które łączy się z aktorami. To wszystko jakkolwiek nie je-

njalne i okazujące w jak opłakanym stanie jeszcze sztuka dramatyczna w Wiedniu, czyni illuzją zupełną i pod tym względem żadne miasto, Paryż nawet nié ma nic wyrównywającego. Przed laty stu publiczność była jeszcze więcéj dziecinną. Pajazzo był duszą wszystkich scenicznych widowisk, a panowanie jego ustało dopiero gdy smak więcéj się wyrobił. Teatr amatorski tak jest upowszechniony że rzemieślnicy go sobie sami tworzą, to jest nawet ich ulubiona zabawa. Krawiec mojego ojca był słynnym przedmieściowym aktorem, lepszym nawet aktorem jak krawcem. Tak zaś był zajęty swojém powołaniem amatora-aktora, że nawet miarę biorąc półgębiem mruczał śpiewkę jakiegoś starego wodewillu.

(D. n.)

KORRESPONDENCJA.

Plombières 10 Sierpnia 1863.

Stąpam więc po wulkanicznéj dolinie Wogezów, gorące a ożywcze jéj źródła, opiewane przez poetów starych i średnich wieków, tryskają przed memi oczyma. Napotykam miejscami ślad murów rzymskich, téj pracy olbrzymów która dotąd urąga potędze czasu, przechadzam się po drodze wytkniętéj genjalną ręką Brunechildy, niegdyś królowéj Austrazji, mogłabym nawet wykąpać się w łazience w któréj powabną swą kibić, kąpała Józefina, babka Napoleona III. Czarowne widoki, dziejowe wspomnienia, stare legendy krążą koło mnie w tym zaczarowanym kąciku Wogezów, jak urocze widma laską czarodziejki z kraju marzeń wywołane, ale nad temi wszystkiemi wspomnieniami jedno góruje imię..... Stanisława Leszczyńskiego, który jak wam dobrze wiadomo był od r. 1738 do 1766go księciem Lotaryngji i Baru. Mamy tu więc główną ulicę Stanisława, szpital Stanisława, fontannę i kawiarnię tegoż imienia. Na próżno dworactwo i pochlebstwo przezwało ulicę imieniem Napoleona, tak brzmi w aktach urzędowych, lecz w ustach ludu, jest to ulica Stanisława. Czémże zasłynął tak ten książe? wszak Lotaryngja miała wielu rozmaitych władców a żaden niezostawił po sobie tyle trwałych wspomnień. Czém zasłynął? prawdziwą miłością bliźniego, cnotą, owym jenjuszem chrześcijanina, przewyższającym sławę zdobywcy, talent artysty i rozgłos jaki nadaje potęga. Okolica tutejsza piękna jak wszystkie górskie okolice (choć nigdy pięknością swą niedorówna karpackiej przyrodzie); ojczyzną jest Joanny d'Arc, sławnego malarza Klaudjusza Lorrain, tudzież karła Bébé który bawił dwór Stanisława Leszczyńskiego, gdyż nie myślę aby mądremu królowi mógł służyć za wielką rozrywkę, pamiętny jest bowiem z tego że miał nadzwyczaj mało zdolności umysłowych. Ale skarbem nad skarby dla doliny Wogezów są jéj źródła gorące, zawierające arszenik, a ztąd bardzo skuteczne na wszelkie febry uporczywe, na podagrę, kaszel zastarzały, reumatyzm i tysiące innych cierpień na które tu się leczą chorzy, wszelkiego wieku płci i stanu. Mała mieścinka Plombières, zasiadła też na swych źródłach które jéj byt dały, jak kokosz na swych pisklętach; otulona wzgórzami z małym kościołkiem, mnóstwem łazienek kąpielnych, podziemną łaźnią parową, mieści w sobie dziwnego rodzaju budynek zwany Palais-Royal, wzniesiony na cześć Adelajdy i Wiktorji królewien francuzkich, córek Ludwika XV i Marji Leszczyńskiéj. Księżniczki te, spędziły w roku 1760 lato w tutejszych kąpielach i ten dwupiętrowy dom na arkadach, dziś przez inspektora wód zajmowany, jest pamiątką może jedyną, po wnuczkach Leszczyńskiego. O kilka kroków od domu *na arkadach*, stoi dziwnego rysunku *łazienka rzymska*. Wygląda ona jak duże podługowate pudło, blaszaném wiekiem nakryte i rodzajem baldachinu na wierzchu przysłonione. Za rzymian miała tu być sadzawka w któréj się chorzy kąpali, teraz jest kilkanaście łazienek i przyrządy do

brania natrysków wodnych czyli *douche*. Nie będę wam opisywać ani łazienek dla kobiet *bains des dames*, ani łazienki cesarskiéj, ani kąpieli ciepłych *bains tempérés*, powiem tylko że woda źródeł tutejszych, dzieli się na trzy gatunki; żelazna, mydlana *(savonneuse)* i ciepła, *(eau des dames)*; téj ostatniéj używają chorzy za napój, wypijając po kwarcie do dwóch dziennie. Smak jéj gorzkawy, ciepło umiarkowane; niegdyś w modzie była woda ze źródła krucyfiksu, dziś, *eau des dames*, uważana jest za skuteczniejszą.

Camerarius sławny niemiecki uczony XVIgo wieku, przyjaciel Melanchtona, uczcił Plombières łacińskim wierszem, dziękując dobroczynnym boginiom Olimpu za ożywczą siłę wód plombierskich. Z opisu Camerariusa dwie się dotąd niezmieniły rzeczy: skuteczność źródeł i prędkie ulżenie..... kieszeni przybyłego. Kiedy porównywam tutejsze ceny z cenami mieszkań i żywności w Karpatach, gdzie taka ilość i tak zbawiennych znajduje się źródeł, nieraz pytam siebie saméj czy ubogim przystępne są kąpiele w Plombières? Powiecie mi może iż w Karpatach n. p. w Szczawnicy, chorzy dla braku mieszkań narażeni są na niewygody wszelkiego rodzaju, tu zaś jako w państwie wygórowanéj cywilizacji, mają dobre mieszkania, obfity stół, osłów do przejażdżki, lektyki, teatr nawet. To prawda, lecz owe mieszkania liczące się po 4 franki za łóżko, ów stół *à la table d'hôte*, od którego wszyscy chorują, lubo tutejsi lekarze spędzają to na rodzaj niby panującéj w okolicy influenzy, owa usługa tak licha i niedbała, herbata, ziółka nawet, wszystko to po szalonych cenach w Plombières. Dawniéj, póki wielki hotel Napoleona, niejaśniał na drodze bitéj do miasteczka wiodącéj, goście mieścili się w skromnych dawniejszych hotelach i wszystko bywało tańsze. Ale dzisiaj, towarzystwo zarządzające nowym hotelem i kąpielami w nim będącemi, zdziera bez miłosierdzia. W zarządzie ładu nié ma, a w rachunkach sumienności brak. Obiady za bardzo sute, za mało zaś smaczne i pożywne; to wcale nie przemawia ani za konkurencją ani za wystawnością. Zawsze na ulicy Stanisława-Napoleona, w sąsiedztwie łazienek, jest tu dom zwany *Casino*. Za opłatą jednorazową kilkunastu franków, można doń uczęszczać, znajdzie tam gość kilka dzienników do czytania, wieczorem zaś muzykę, a w Czwartek i co Niedziela może się chory wytańczyć wieczorem, na balu *w Casino*. Lecz świetne damy, strojne we wszystkie barwy tęczy, a codzień barwę tę zmieniające w inne odcienia, zbierają się zwykle do wielkiéj sali w hotelu Napoleona, gdzie z robotą w ręku, przy pogadance, amatorskiéj, muzyce niekiedy nawet przy tańcach, czas im upływa. Mimo to, słyszę jak się wszyscy w Plombières skarżą na nudy. Dla czego? prawda że rozbierać się i ubierać kilka razy na dzień, wcale jest niezabawnie, ależ tak bywa we wszystkich kąpielach w Europie. Czemuż tedy nudzi się towarzystwo francuzkie w Plombières w tym roku? temu, że z samych złożone francuzów. Może zarzucicie mi przesadę, moi czytelnicy, a przecież tyle was kocham i cenię iż w błąd wprowadzić bym nie chciała, sama przyznaję że trudna rzecz do wiary, ta czczość rozmowy klass wyższych, ta płytkość ich umysłu. Teraz jakby na dane hasło, jest w Plombières sama prawie arystokracja. Markizowie z żonami i dziećmi, hrabiowie, urzędnicy dworu cesarskiego, wojskowi wyższych stopni, cóż stanowi treść ich rozmowy? obgadywanie tych, którzy do ich kółka nie należą, wydrwiwanie kalectwa, ułomności, ubóstwa niekiedy. Kobiety na dwóch rzeczach się znają: na muzyce i strojach, mężczyźni... zdaje mi się że nawet polityka ich niezajmuje. A przecież jest to lud najruchliwszy na świecie i mający sławę, najbardziéj oświeconego w Europie narodu. O niższych warstwach tu niemówię.....

Więc żeby się nie nudzić, tutejsze towarzystwo uczęszcza na teatr i pozwala pannie Emilji Van der Meersch, zwanéj: *la fée aux oiseaux*, durzyć się w najbezwstydniejszy sposób. Odważyliśmy się pójść oglądać uczone ptaki panny Van der Meersch. Ze sławnych uczoności ja tylko jeden rodzaj lubię, uczonych ludzi. Tańcujące psy i konie, uczone lwy i tygrysy, niezachwycają mię wcale. Jednakże ptak, ten artysta przyrody, jak go pani Sand nazywa, ten żywy balon, ten wzór miłości małżeńskiéj

i rodzicielskiéj musi przecie pięknie wyglądać gdy w małą główkę jego, pewna doza nauki wejdzie, tak sobie myślałam czytając afisz donoszący: że zięba umie doskonale kalendarz rzymsko-katolicki, że trznadel doskonałym jest matematykiem i jeografem, a pani Calfat bardzo przyjemna pliszka, zdejmuje portrety z osób i odpowiada na rozmaite pytania, wróży nawet bez kabały. Poszliśmy tedy do salonu w hotelu Napoleona, pierwszy rzęd krzeseł, zajęty był przez jakieś towarzystwo bardzo przyzwoite, ja siedziałam w drugim i pilnie śledziłam ruchy panny Van der Meersch. Wystąpiła wspaniale ubrana, przystojna, 25letnia dziewica, z laseczką w ręku, odkryła bardzo wytworne klatki w których siedzieli rozbudzeni ze snu skrzydlaci artyści. Uśmiechając się i białe pokazując ząbki, przemówiła o możności wyuczenia ptaków *słodyczą i cierpliwością*, rozmaitych sztuk zajmujących, poczém przystąpiła do swego dzieła. Zapytała zięby który dzień i jakiego miesiąca dziś mamy? Ziemba wyciągnęła karteczkę z liczbami stosownemi. Potém zwróciła się do czyżyka pana Calfat, lecz ten niemiał ochoty odpowiedzieć, to jest wyciągać karteczek, inny go więc zastąpił towarzysz. Szła tedy gra ciągle, kazano ptaszkowi napisać imię Louis, ptak wyciągnął lubo nie po kolei, wszystkie potrzebne ku temu litery. Oklaski zadowolenia grzmiały często; panna się kłaniała. Z jeografji ptak wyciągnął kalambur niezbyt dowcipny. Gdy przyszło do zrobienia portretu najpiękniejszéj osoby w towarzystwie obecném, pani Calfat wyciągnęła jakieś wiersze o róży, lecz najzabawniejsze dla mnie było zgadywanie kart z talji wyjętych. Panna Van der Meersch wzięła talję kart i weszła wśród widzów prosząc aby raczyli wyciągać po jednéj, a pan Calfat zgadnie które były wyciągnięte. Gdy ktoś pierwszą wyjął kartę, panna Van der M: obróciła się do klatki mówiąc: „uważajcie! *mes chers amis*, jednę już kartę schowano,“ ta komedja ponawiała się przy każdéj z 5ciu kart. Śmiech ogólny powstał wśród, widzów bo ptaszyny siedziały bokiem lub tyłem do sceny i żadne się na nas niepatrzało. Wszakże zgadły doskonale schowane karty. Potém panna V. der M. obdarzyła kobiety bukiecikami, nakoniec zięba wyciągnęła wierszyk proszący o pobłażanie i oklaski, a widze rozeszli się zadowoleni, obejrzawszy pilnie klatki i zadziwiających artystów. Ja ciężko westchnęłam nad tą kobietą która tak źle używa dowcipu i wrodzonych zdolności, cała bowiem umiejętność biednych ptasząt, zasadza się na tém: że wyciągają i odwracają wskazane im pałeczką kartki, za co otrzymują po ziarnku siemienia, może więc głodem zmuszone są do téj roboty, panna zaś przygotowuje odpowiedzi, dowcipem pokrywa omyłki, z tego wszystkiego jednak zysk bardzo szczupłym być musi, jeźli policzym koszta przejażdżki, salonu, strojów. Kiedyśmy już wpadli na rozmowę o ptakach, muszę też wam powiedzieć jak to człowiek *udoskonala* przyrodę. Poznaliśmy tu pewną panią z północnych stron Francji. Zbiera ona dla swéj rozrywki małe muzeum historji naturalnéj, mówiła nam tedy iż w domu jéj bywał pan A. de Ch. sławny professor nauk przyrodzonych z Lille, teraz piastujący katedrę tychże nauk w Lyonie. Otóż pan A. de Ch. zajmuje się głównie poprawianiem rass wszelakich tworów bożych, zacząwszy od kurcząt i morskich świnek aż do człowieka. Czyni on te poprawy, przez stósowne ogrzewanie i oziębianie tworów, jeszcze na świat nieprzybyłych. Kurczęta ogrzewał na spirytusie i otrzymał, jedne z 3ma lub 4ma łapkami, drugie z przewróconym mózgiem. Świnki morskie przyszły także na świat udoskonalone bo z wykręconemi nóżkami, pani de C. ma taki okaz w swojém muzeum. Jeżeli ów uczony z takiém powodzeniem zacznie ludzkie ulepszać plemię, to za lat kilkadziesiąt Francja, będzie zbiorowiskiem samych dziwolągów. Wracając do towarzystwa tutejszego, które się tak nudzi, powiem wam iż gdyby tylko chciało, mogłoby się nienudzić wcale. Okolice Plombières tak bogate w widoki i wspomnienia, mogą dostarczyć treści do zajmujących rozmów i powodu do bardzo miłych przejażdżek z pewnym naukowym celem. Oprócz doliny *Val d'Ajol*, zkąd taki cudny widok, oprócz wioseczki *Laitre* gdzie od lat przeszło stu, mieszka zacna góralska rodzina *Fleuriot*, trudniąca się leczeniem chorych z ojca na syna biegła

od dzieciństwa w terapji i chirurgji, których to nauk kurs, odbywają w szczupłym domku rodzicielskim, obracając późniéj tę umiejętność, na leczenie ubogich mieszkańców gór; oprócz tych cichych i mało znanych dobroczyńców ludzkości, pogardzających ziemskiemi nagrody i tytuły (dziad ich bowiem nieprzyjął od Leopolda księcia Lotaryngji, patentu szlachectwa dla siebie i swéj rodziny, gdyż chciał, ażeby potomkowie jego cnotą się tylko i nauką odznaczali) są tu jeszcze inne osobliwości. Jest w samém Plombières doskonale prowadzona sala ochrony, w któréj paręset dzieci z całego miasta dwie tylko zakonnice i jedna dogląda dziewczynka. Śliczny jest widok owéj liczněj gromadki postępującéj w takt podług śpiewu, na schody amfiteatrów i potém rączkami udającéj rozmaite rzemiosła, tkacza, prządki i t. p. Ze wstydem jednak wyznaję iż mi się niepodobają te ruchy na komendę, te marsze miarowe u małych dzieci. Widzę że dla utrzymania porządku, w takiém mnóstwie dziatek, jest to niezmiernie potrzebne, pragnęłabym przecie aby dziecko wolne było w swych ruchach i żeby chodziło, siedziało lub bawiło się o tyle tylko, o ile samo zechce. Dziecię to wątła roślina któréj organizm, trudno pod ogólne podciągnąć prawidła. Piękny portret Stanisława Leszczyńskiego, zdobi w szpitalu ściany pokoju dla gości. Ten monarcha opłakiwany przez całą Lotaryngję, najbardziéj żałowany był jednak tutaj, gdyż jemu Plombières zawdzięcza wszystkie ulepszenia i swój byt jako miasto. Najulubieńszą też gości tutejszych przechadzką jest fontanna Stanisława. Dużo chłodu, wygodna acz pod górę, lasem, droga, mały wytrysk wody, na którym kamień z napisem dnia i roku zgonu dobrego króla, tudzież wiersz na cześć Leszczyńskiego, wyryty ręką jego chrzestnego syna pana de Boufflers w 1813 r. stanowią całą piękność téj przechadzki. Jest prawda w pobliżu i chatka włościańska, można tam dostać świeżego mleka po cenach wyższych jak w Paryżu. Dwie mile za Plombières, leży sławne miasto *Remiremont* w dolince, dwiema zamkniętéj wzgórzami. Tysiąc lat temu kiedy święty Kolomban chrzcił pogan Austrazji, jeden z jego uczniów *Sty Amé* nawrócił w Metz, Romaryka jednego z książąt téj krainy. Nowonawrócony odrzucił ze wzgardą bogactwa i dostojeństwo i zamknął się z dwiema córkami w pustelni gdzie wzniósł siedm klasztorów, a w każdym z nich osadził po dwanaście dziewic poślubionych Chrystusowi. Tak przez dwa wieki gorzało światło modlitwy nieustającéj i pokory chrześcijańskiéj przed obliczem Bożém. W następnym wieku napad Hunnów wypłoszył pobożne dziewice z ich ustronia. Schroniły się one do Remiremont, a tam Ludwik IIIci cesarz niemiecki, nadał im wielkie przywileje. Pobożny Romaryka zakład, wyrósł na dumne opactwo do którego jedynie przyjmowano dziewice liczące dziesięć pokoleń szlachectwa. Przełożona tych pań była całéj okolicy władczynią, miała moc uwalniania więźniów za zbrodnie osadzonych w więzieniu, pisała się: *z Bożéj łaski pokorną opatką i panią na Remiremont, księżną cesarstwa niemieckiego* i bywała przykrą współzawodniczką dla książąt Lotaryngji. W początku XVII wieku przełożoną opactwa Remiremont, była Katarzyna księżniczka lotaryngska. Pamiętna jest tém iż widząc w zakonie bardzo światowe obyczaje, zamierzyła zmienić regułę, lecz jéj duchowne córy, silny stawiły opór i dzielna opatka nic przeciw zastarzałym zwyczajom podołać nie mogła; działo się to w 1612 roku. Inne za to Bóg jéj zgotował zwycięztwo. Lotaryngja jak wiadomo niebyła jeszcze pod owe czasy prowincją francuzką, miała udzielnych książąt i raczéj do Niemiec niż do Francji przez swą ludność należała. Otóż w 1638 r. za rządów téjże saméj Katarzyny, sławny wojownik Turennjusz obległ Remiremont, przychylne cesarzom niemieckim. Opackie miasto niebardzo było warowne i bohatér Francji mniemał iż łatwo je zdobędzie, ale dzielna Katarzyna lotaryngska weszła na wał miejski z całą kapitułą; za nią prócz załogi rzucił się lud z miasteczka i okolic, oblężeni stracili dwóch ludzi; oblegający 800; Turennjusz odstąpił od murów Remiremont....

Co rok w dzień Zielonych Świątek szła processja hołdowników, z wsi okolicznych składać hołd winny opactwu. Hołd ten,

wyobrażały kwieciste gałązki, każda wieś niosła inne. Pęki róż, konwalje, gałęzie wiśni, dębu, jałowcu; dań kwiecista dla kobiet tak właściwa, niesioną była do opatki pałacu w uroczystym pochodzie. Teraz stoi kościół i pałac na świadectwo przeszłości, ale Remiremont jest już tylko ożywioném zwyczajném miasteczkiem, ubogiém w pamiątki tak niedawnéj świetności swojéj. Wszystko, niestety! lub téż Bogu dzięki! koniec swój musi mieć na tym biednym świecie.

J. Janiszewska.

PODRÓŻE BADACZA PRZYRODY PO ŚRODKOWEJ AFRYCE.

(Dalszy ciąg.)

Nazajutrz rano wyszedłem wraz z Abokiem aby zapolować na słonie, podczas gdy Niamkala z drugiemi miał poszukiwać dzików szimpansów i gorillów. Niemiałem tą razą szczęścia, powracałem już obładowany jedynie małpami i ptakami niewielkiéj wartości, gdy niespodziewany wypadek obdarzył mię drogocenną zdobyczą. Wychodząc z lasu spostrzegliśmy wraz z Abokiem spokojnie pasące się bawoły; jeden z nich widocznie zdawał się nam przeznaczony bo usunąwszy się zdala od drugich stał zamyślony. Zbliżyliśmy się do niego zakryci wysoką trawą; już mieliśmy strzelać gdy głuche warczenie zwróciło uwagę naszą w inną stronę. Mój towarzysz wyszeptał pocichu wyraz *enjego* który znaczył „lampart” w języku krajowców; wiatr który zawiał przyniósł nam woń właściwą temu zwierzęciu, nie ulegało zatém wątpliwości że znajdowało się w pobliżu. Wyznaję że sąsiedztwo to w trawie w któréj nic zdaleka dojrzeć było niepodobna, nie miłe na mnie uczyniło wrażenie. Pomyślałem sobie że zapewne lampart śledzi nas tak jak my śledziliśmy bawoła i gotów rzucić się na nas w téj chwili; posunęliśmy się ostrożnie chcąc go wynaleźć, lecz wszelkie usiłowania nasze ku temu były próżne. Warczenie zbliżało się coraz więcéj, bawół tymczasem spoglądał głupowato do koła, niedomyślając się jak potężnych ma w pobliżu nieprzyjaciół. Nagle towarzysz mój położył palec na ustach i wskazał mi miejsce w którém trawa znacznie była zniżoną. Spojrzawszy tam zobaczyłem ogromnego lamparta, samicę wraz z małym lampartkiem. Na szelest kroków naszych obróciła dopiero wzrok na nas, dotąd bowiem tak zajętą była bawołem że nic innego niewidziała. Śledząc ruchy zwierzęcia widziałem że waha się na kogo wpierw ma uderzyć, aby mu oszczędzić chwil niepewności ubiłem je natychmiast celnym strzałem; w tymże samym czasie Aboko zastrzelił małego lamparta. Moi ludzie szaleli z radości; uważają oni lamparta jako najniebezpieczniejsze zwierze a przytém niełatwe do wytropienia. Mówią że goril nie jest tak niebezpiecznym dla człowieka jak ten kot olbrzymi. W czasie objawów hałaśliwéj murzyńskiéj radości nadciągnął do naszego obozu Niamkala z towarzyszami nieśli kilku dzików i jednago *nchéri* dość ciekawe do mych zbiorów zwierzątko. Po wieczerzy moi ludzie malowali sobie ciało, (co oznacza u nich wielkie ukontentowanie) i śpiewali pieśni o lamparcie do późnéj nocy. Ledwo ich zmusić mogłem aby się spać pokładli. Tańczyli, natrząsali się nad nieżywym lampartem; nie zabijesz już nikogo, wołali kopiąc go nogami, nie będziesz już pożerał strzelców ani tropił zwierzyn! — Nazajutrz rano przekonałem się dopiero dla czego lampart był tak drogocenną zdobyczą. Wszyscy moi murzyni kłócili się najpierw o koniec jego ogona któren każden chciał mieć w posiadaniu, a następnie o czaszkę z mózgiem; dowiedziałem się wtedy że pierwszy był talizmanem który jednał serca pięknych kobiet jego szczęśliwemu właścicielowi, mózg zaś zasuszony i zmieszany z różnemi innemi rzeczami, miał dodawać odwagi i szczęścia na polowaniu. Gdy załagodziłem jak mogłem te spory, przynieśli mi znów wątrobę żądając abym żółć przy niéj będącą sam zniszczył, jest to bowiem według ich rozumienia silna trucizna, pragnęli za-

tém abym mógł świadczyć że żaden z nich jej niezabrał, w razie gdyby byli zapowrotem posądzeni o otrucie. Od rana zaraz zajęliśmy się wędzeniem mięsa zabitéj zwierzyny; pora letnia i bliskość lasu ułatwiały wielce tę pracę, co bowiem dym nie objął dostatecznie, dosuszało się na słońcu, aromatyczne zaś gałęzie drzew przejmowały mięso swym zapachem. Co dzień powracaliśmy z łowów obładowani zwierzyną, przynosiliśmy gazelle, antylopy, dziki, małpy i wiele różnorodnego ptastwa. Zdarzyło mi się znów upolować dość rzadki gatunek tukana *(tockus camurus)*, najmniejszy z tych które znane dotąd. Ptak ten miał dziób czerwony, szyję i piersi ciemno-bursztynowe, resztę pierza czerwoną za wyjątkiem ogona i skrzydeł które były ciemno-zielone z białém zakończeniem. Około dnia piątego czerwca Niamkala i Aboko przynieśli mi pięknego dzika, mówiąc że napotkali ślady słonia, nazajutrz więc umyśliłem się wyprawić na polowanie w tę stronę wraz z niemi. Cały dzień zszedł nam na niczém, nie spotkawszy śladu zwierzyny powróciliśmy znużeni. Słonie są w ciągłéj podróży szukając pożywienia, z téj więc przyczyny nie łatwo się spotkać z niemi. W dniu następnym już godzin kilka czyniliśmy próżne poszukiwania, gdy wreście koło południa napotkaliśmy słonia wychodzącego z ogromnéj naprzeciw nas trawy. Mogliśmy przyjrzeć mu się gdyż nas niewidział odwrócony w inną stronę. Znając to zwierzę tylko z okazów widzianych w menażerji, nie mogłem dość podziwiać jego olbrzymiéj postawy. Żal mi było strzelać aby zniszczyć ten potężny organizm, a jednakże miałem niezmyśloną ochotę stać się panem takiéj zdobyczy. Przygotowałem już moją fuzję, lecz nie wiedziałem z któréj zajść strony aby nie być spostrzeżonym od strasznego przeciwnika. Aboko tymczasem pełzając wśród trawy zbliżył się do niego i wystrzelił. Słoń trafiony w samą czaszkę zachwiał się i upadł. Kula przeszyła mózg, skonał więc niebawnie. Strzelcy podbiegli do nieżywego olbrzyma z okrzykiem radości, Aboko zaś nim do niego przystąpił, nakreślił na ziemi kabalistyczne jakieś znaki. Gdy je ukończył rozrąbał siekierą czaszkę zwierzęcia i wyjął kły z których jeden miał się dostać królowi Bango jako zdobycz jego niewolnika, ze sprzedaży zaś drugiego, korzyści rozdzielone być miały pomiędzy wszystkich strzelców. Kły te nie były z największych, nie ważyły bowiem więcéj nad trzydzieści funtów każden. Téj nocy nie wracaliśmy już do obozu lecz rozpaliwszy ogień, przepędziliśmy ją około naszéj zdobyczy. Reszta towarzyszy pozostałych na straży rzeczy, dopomogła nam przyciągnąć do obozu zabitego słonia. Został tam natychmiast rozebrany na części i uwędzony, a potém niezwłocznie odesłany do Sangatanga, gdzie przyrządzone w ten sposób mięso miało być sprzedane. Moi murzyni mówili, że nigdy niepędzili tak szczęśliwego życia jak obecnie, nie mieli wprawdzie nic innego do jedzenia prócz mięsa, lecz za to jedli je w takiéj obfitości, że bałem się aby się niepochorowali. Wieczorem leżąc przy ognisku pili wino palmowe i palili tytuń, którego im niekiedy udzielałem wspaniałomyślnie. Wypychałem wszystkie zwierzęta które były warte zachowania, mięso zaś ich było zjedzone lub wędzone. Nie mieliśmy wcale dostatecznéj ilości soli aby je zachować należycie, można sobie więc łatwo wyobrazić jaka woń niemiła napełniała nasz obóz. Aby jéj uniknąć o ile można, wyniosłem się daléj z moim namiotem, ustawiwszy go w ten sposób żeby wiatr nieprzynosił mi zapachów zwierzyny. Pewnego dnia doniesiono nam że widać było w pobliżu ślady wielkiego dzika, udaliśmy się tam natychmiast i wkrótce głuche mruczenie ostrzegło nas o zbliżaniu zwierzęcia. Biegnąc w stronę zkąd odgłos wychodził, potknąłem się o ogromnego węża boa który leżał na wpół ztrętwiały, trawiąc zapewne dopiero co połkniętą zdobycz. Cofnąłem się z obrzydzeniem, wziąłem potém kordelas od Aboka i rozciąłem nim na dwoje obrzydliwą poczwarę, która wyrzuciła wtedy niedawno widać pożartą małą gazellę. Hałas który powstał gdy zabiłem węża spłoszył dziki, jednakże napotkaliśmy je nieco daléj i przynieśliśmy dwa z nich zabite. Murzyni zabrali także węża i ugotowali z niego zupę, którą jedli z wielkim smakiem, co do mnie, niemogę o niéj wydać zdania bom jéj niekosztował. Około szesnastego czerwca dano mi znać, że wielka

trzoda bawołów *(bos brachicheros)* pasie się na łące pobliskiéj. Poszliśmy tam o ósméj godzinie z wieczora i czekaliśmy do drugiéj rano na zwierzynę która wtedy dopiero ukazała nam się. Dwadzieścia kilka pięknych, rogatych głów, wyszło z lasu i rozpierzchło się spokojnie po łące. Powoli stojące z początku bawoły poczęły biegać tu i owdzie w miejscu igrając z sobą wesoło. Podsunęliśmy się ku nim pełzając cicho pomiędzy trawą. Nagle gdy kilka kroków rozdzielało nas już tylko od całéj trzody, wiatr zawiał przenikliwie. Przyniósł widać bawołom woń ukrytych w pobliżu nieprzyjaciół murzynów, bo wietrząc do koła z widocznym niepokojem, zgromadziły się szybko i pędem uszły do lasu. Trzebaż było nie szczęścia aby się doczekać podobnego skutku tak długich wyczekiwań! Moi strzelcy przeklinali językiem Sekianisów, ja zaś wyrażałem mój zły humor w kilku narzeczach. Niemożna było jednakże tracić ze wszystkiém nadziei. Wróciliśmy pocichu na stanowisko nasze, a po dwóch śmiertelnych godzinach powtórnego wyczekiwania, znów wyszła z lasu para bawołów i poczęła skubać spokojnie trawę. Pełzając zbliżyliśmy się do nich i wkrótce dwa jednoczesne wystrzały powaliły je o ziemię. Niezadługo już miało świtać, powróciliśmy więc aby przysłać ludzi po zdobycz naszę. Rachowaliśmy że w dzień dzikie zwierzęta niewyjdą ze swych łożysk, aby ją nam odebrać, omyliliśmy się jednakże, bo strzelcy zastali za powrotem jednego z bawołów na wpół już zjedzonego przez lamparta. Biedny lampart musiał być bardzo zgłodniały skoro wyszedł tak rano! żałowałem żem go niespotkał i nie mógł zgładzić. Dwudziestego drugiego czerwca wybraliśmy się z powrotem do Sangatanga. Cały dzień wigilją murzyni zajęci byli troskliwém pakowaniem wędzonego mięsa w koszyki z liści palmowych, opowiadając sobie wzajemnie podczas téj roboty z pewnym rodzajem zadowolenia, ile dostaną w zamian ara ku i tytuniu. Wszystkie te piękne nadzieje nie ziściły się jak to przewidziałem z góry. Połowę mięsa rozdali przyjaciołom, trochę rozkradziono im, a pozostałe nie wiele warte resztki nie mogły być już użyte do handlu. Co do mnie, pakowałem troskliwie w przed dzień wyjazdu moje naukowe zdobycze. Wypchane małpy i ptaki a nawet gazelle, łatwe były do przeniesienia, największa trudność zachodziła z bawołem którego wypchałem z jak największém staraniem, z powodu że należał do rzadkiego i mało znanego gatunku. Dziki bawół zamieszkujący tę część Afryki, czyli *bos brachicheros* nie jest większy od naszego zwyczajnego bydła ale daleko silniejszy. Samica pokryta bywa rzadką czerwonawą siercią która wzdłuż krzyża jest gęstszą i ciemniejszą. Samiec jest prawie czarnego koloru. Racice ich są dłuższe i więcéj szpiczaste jak u domowego bydła, ogony zaś całkiem nagie zakończone tylko szeroką kitą sierci, na kilka cali długą. Głowę mają bardzo piękną zbliżoną do głowy antylopy, pysk czarny i śliczne długie czarne uszy obrosłe długą i miękką siercią, spadającą również na kilka cali wzdłuż. Piękne ich hebanowe rogi są z wielkim wdziękiem wygięte do tyłu głowy. Wszystkie poruszenia tych zwierząt są pełne zręczności i przypominają raczéj antylopę aniżeli ciężkiego zwyczajnego wołu. Żyją one gromadnie, w nocy wychodzą zazwyczaj na paszę z lasu, jeżeli nigdy jeszcze nie były płoszone przez strzelców można się do nich zbliżyć, jeżeli zaś już kiedy na nie polowano wtedy bywają bardzo nieufne i płochliwe. Upakowawszy należycie nasze manatki 22 czerwca wyruszyliśmy do Sangatanga. Ludzie moi tak byli obładowani, że jęczeli za każdym krokiem, oprócz skór i zwierząt wypchanych, dźwigali jeszcze około tysiąca funtów mięsa. Szczęściem że nasze zapasy prochu i ołowiu już były wyczerpnięte, bo inaczéj potrzebaby było szukać pomocników do przeniesienia wszystkiego. Miejsca które opuszczaliśmy obfitują w zwierzynę więcéj niż inne strony Afryki. Pomimo utrudzenia murzyni moi w najweselszym byli humorze, co mię niezmiernie radowało. Zbliżając się do miasta zakopali znaczną część mięsa, prosząc mię abym nic o tém nie wspominał nikomu, obawiali się bowiem aby król lub współziomkowie nie skradli ich dobra. W nocy dopiero mieli je cichaczem odkopać i zanieść do małéj plantacji którą posiadali wspólnie. Przybyliśmy do rezydencji króla Bango o drugiéj z po-

łudnia. Strzelcy którzy byli jego niewolnikami, złożyli mu natychmiast znaczną część swéj zdobyczy, tak mięsa jak kości słoniowéj, przysięgając że nie posiadają nic więcéj, poczém rozeszli się do swych chat, wpośród radosnych okrzyków współziomków, któremi przybycie ich uczczono. Gdy pozostałem sam na sam z królem, zauważyłem że stary łotr był więcéj chory aniżeli przed moim wyjazdem i wielkie miał podejrzenie że go oczarowałem, opowiadał mi bowiem jak zaraz uczuł się gorzéj téj nocy którą przepędziłem w jego mieszkaniu. Z początku tłomaczyłem mu, że zimna pora bywa przyczyną wielu chorób, że ja sam nawet wyjechawszy nie dobrze się czułem, gdy jednakże widziałem że to nic nie pomaga i że zawsze spogląda na mnie z nieufnością, zniecierpliwiony powiedziałem wyraźnie, że nie jestem bynajmniéj czarnoksiężnikiem, ale natomiast człowiekiem bardzo strudzonym i zgłodniałym. Kazał wtedy jednéj ze swych żon aby mi ugotowała kawy; rozpalono więc ogień wpółbeczułku napełnionym do wpół ziemią, który stał w rogu izby. Dym omało mię niezadusił, lecz w końcu mogłem się przynajmniéj posilić trochę, dodawszy do zgotowanego napoju sucharów z masłem. Od samego rana nie miałem nic w ustach, byłem do tego tak strudzony moją podróżą, że chciałem się zaraz położyć; dom w którym mieszkałem za nadto był oddalony abym tam mógł w tym dniu jeszcze przenieść moje zdobycze, drżałem zaś na myśl nocowania z niemi w pałacu króla Bango tak obfitującym w szczury. Położyłem się wreście niemając nic innego do wyboru, niemogłem jednak zasnąć, częścią z obawy szczurów, częścią zaś dla bólu jaki czułem we wszystkich członkach przeszedłszy tyle mil pieszo. Przez dwa dni następne, leżałem tylko wyciągnięty na słońcu, niezdolny do wszelkiéj czynności. Moi towarzysze kazali mi powiedzieć, że są w takimże samym stanie i z téj przyczyny nie przychodzą po zapłatę. Nie cierpiałem zatém sam jeden. Tymczasem zbierano się znów z całéj okolicy aby mię oglądać; słyszałem różne dysputy o sobie, niektórzy n. p. rozprawiali głośno bez żadnéj ceremonji, że nie muszę mieć spełna rozumu. Gdy wreście ludzie moi przyśli po zapłatę umówioną, zaspokoiłem wszystkie ich wymagania i rozeszliśmy się najlepszemi przyjaciołmi. Oświadczyli gotowość towarzyszenia mi w następnéj wyprawie. Nie mogłem jednakże pomyśleć o niéj prędko, dla mocnego poranienia nóg które wprzód wygoić było potrzeba. W pierwszych dniach lipca dopiero mogłem chodzić jak należy. Spacerując jedną razą po wsi, wypatrzyłem skrycie obrzędy któremi pewien poczciwy cieśla murzyński czcił swego fetisza. Wszedłszy do głębi chaty rozpalił ogień, rozebrał się do naga i czyniąc różne znaki na ciele swém białą kredą, mruczał kręcąc się około ogniska niezrozumiałe dla mnie wyrazy, które zapewne były modlitwą do bożyszcza. Po skończonéj ceremonji zagasił ogień i zamknął chatę. Wyszedłem wtedy z mego ukrycia i łajałem go za tak nierozumne pogańskie obrzędy. Odpowiedział mi bardzo serjo, że duch Numba zamieszkujący w głębi oceanu, wszedł w jego piersi i zagroził mu śmiercią, jeżeli go zaraz ztamtąd niewydali przez exorcyzmy których byłem świadkiem. W kilka dni potém król oświadczył swoim poddanym, że bożyszcza oznajmiły mu we śnie przybycie statku handlującego murzynami. Wszyscy zazwyczaj wierzą tym przepowiedniom, mimo że one nie zawsze się sprawdzają. Niewziąłem z sobą dość araku na wymianę, niezadługo więc byłem prawie ogłodzony, bo murzyni nie chcieli brać odemnie innéj zapłaty za żywność którą od nich musiałem nabywać. Udałem się do faktorji najbliższéj i dopiero za jéj pośrednictwem, miałem wszystko czego mi było potrzeba. Król Bango który był najchciwszym na świecie żebrakiem mimo bogactw jakie posiadał, przysłał znów do mnie mafugę żądając tytuniu. Niełatwo go byle czém zaspokoić, a posiada rzeczywiście składy rzeczy znacznéj wartości w handlu. Skarby te odwiedza sam tylko niekiedy. Wolno także do nich zaglądać osobie posiadającéj całe jego zaufanie, starszéj żonie którą prawem spadku odziedziczył po ojcu. Handlujący niewolnikami są na łasce tego obrzydliwego skąpca, może bowiem zagarnąć ich mienie w jednéj chwili; łatwo sobie wyobrazić jak bezustanne składać muszą daniny, skoro ja który w niczém od niego nie

zależałem, musiałem się opłacać codziennie prawie. Wracając z odwiedzin u króla zabiłem ptaka, o którym murzyni powiadali że jest zaczarowanym i że go nikt nie trafi; nie na wiele jednakże przydała się mi ta zdobycz, bo gdy jak zazwyczaj chciałem im tłomaczyć wtedy całą śmieszność ich zabobonów, powiedzieli natychmiast że ludzie biali podlegają widać innym prawom i dla tego zastrzeliłem ptaka którego żaden z nich nie mógł trafić.

(D. c. n.)

O UBIORACH I ROBOTACH.

Lato przeplatane deszczami coraz to bardziéj upowszechnia ciemne spódnice, które nazywać można raczéj podspodniemi sukniami, tak są zwykle gustowne, że zaś są oszczędniejsze od białych spódnic, które często prać i krochmalić trzeba, o témjuż dawno gospodarne kobiety zawyrokowały. Takie spódnice w pięć brytów szerokie przedaje po 42 złp. magazyn pp. Wilkoszewskiego i Sokołowskiego, o którego wyrobach bielizny i innych białych przedmiotów kobiecego ubrania, już poprzednio donosiłyśmy naszym czytelniczkom. Na ten miesiąc niepodobna nam doprawdy donieść im o jakiéj nowości tualetowéj; długie burnusy i okrągłe kapelusze dają się widzieć na wszystkich prawie kobietach, używane kroje sukien jużeśmy opisały, a że materjały na odzież zimową przychodzą do Warszawy dopiero w Październiku, więc tymczasem podajemy zajmującą robotę dla osób chcących uprzyjemnić sobie chwilkę czasu po ważniejszych zatrudnieniach.

Sposób malowania na czarném drzewie zupełnie naśladujący dawny lakier chiński.

Bierze się dobrze wypoliturowana czarno tabliczka, szkatułka, szafka lub coś podobnego, kładzie się na niéj papier z jakimbądź rysunkiem chińskim; (meczeciki, pagody, najstosowniejsze do tego) bierze się więc rysunek na przezroczystym papierze zrobiony, nasypuje proszkiem suchym zwanym *Vermillon*, nabrawszy troszkę proszku na watę naciera się zwyż wspomniony rysunek i przykłada stroną natartą do sprzętu któren się ma malować, potem pociąga się po rysunku kostką cienką, taką, jak się używa do przekałania dziurek w hafcie. Po takiém nakreśleniu konturu, zdejmuje się rysunek, zdmuchuje proszek i odrobiony kontur napełnia się znowu proszkiem *Vermillon*, ale już niesuchym tylko rozrobionym z płynem który się nazywa *Mordant* a którego dostanie w każdéj aptece. Jak troszeczkę przyschnie rysunek że tylko się lepi, nabiera się na małe tuponiki (urządzone z kawałku aksamitu z watą w środku) złota w proszka, którego wszędzie w składach papieru dostanie i które nie jest kosztowne. Są różne cienie złota, jako to: zielonawe, czerwonawe, można i srebro w proszku użyć, wszystko to podług upodobania. Tak robota przyrządzona może być jeszcze cieniowana pędzelkiem czarną farbą w proszku rozrobioną z tym samym *mordant* jak naprzykład wąsy, włosy u chińczyków i t. p. delikatniejsze rzeczy. Jak gdzie w pejzażu wypadają góry wtenczas bierze się gęsto rozrobiona biała farba *blanc d'Espagne* i znowu zmieszana z tym samym płynem jak wyżéj, używa się do nakładania tych gór bardzo grubo. Jak podeschną dokłada się jeszcze aby była dostateczna wypukłość gór, potem natrzepuje złotem lub srebrem podług upodobania, kapelusze i bóty zwykle są czerwone u chińczyków, więc farbą czerwoną tak rozrobioną jak wyżéj było opisane do konturów, można te kapelusze i bóty umalować nienatrzepując już złotem. Wszystkie drobne szczegóły dopiero w robocie podług gustu się wykończają. Gdy cała robota dostatecznie wyschnie, pociąga się zwyczajnym, czystym lakierem.

Objaśnienie tablicy robót.

Ner 1. Połowa przodu stanika bluzkowego dla młodéj panienki — Ner 2. połowa pleców — Ner 3. rękaw.
„ 4. i 5. Pantofel ściegiem szydełkowym. Kolory i materjał według upodobania.
„ 6 — 7 — 8 — 9. Kołnierzyki i mankiety. Haft czarny na białym nanzuku.
„ 10. Szlak do obrusa kościelnego.
„ 11. Róg do chustki od nosa.
„ 12 — 13 — 14 — 15. Szlaczki.
„ 16 — 17 — 18. Rzuciki.
„ 19 do 30. Cyfry.
„ 31 do 41. Cyfry.
„ 42. Karczek do białéj dymowéj sukienki naszywanéj czarno, dla małego dziecka. 43. Połowa rękawka — 44. Szlak do dołu — 45. Figura całéj sukienki.
„ 46 — 47 — 48 — 49. Kołnierzyki i mankiety płócienne z czarném wyszyciem.
„ 50 — 51 — 52. Rogi do chustki do nosa.
„ 53. Torebka, haft jedwabiem i paciorkami na suknie, kolory według upodobania. Po skończeniu trzeba dać do oprawy rymarzowi. Deseń ten powiększony może służyć na torbę podróżną *(sac de voyage)*.



Moine Imp. r. St. Louis en l'Ile 90. Paris

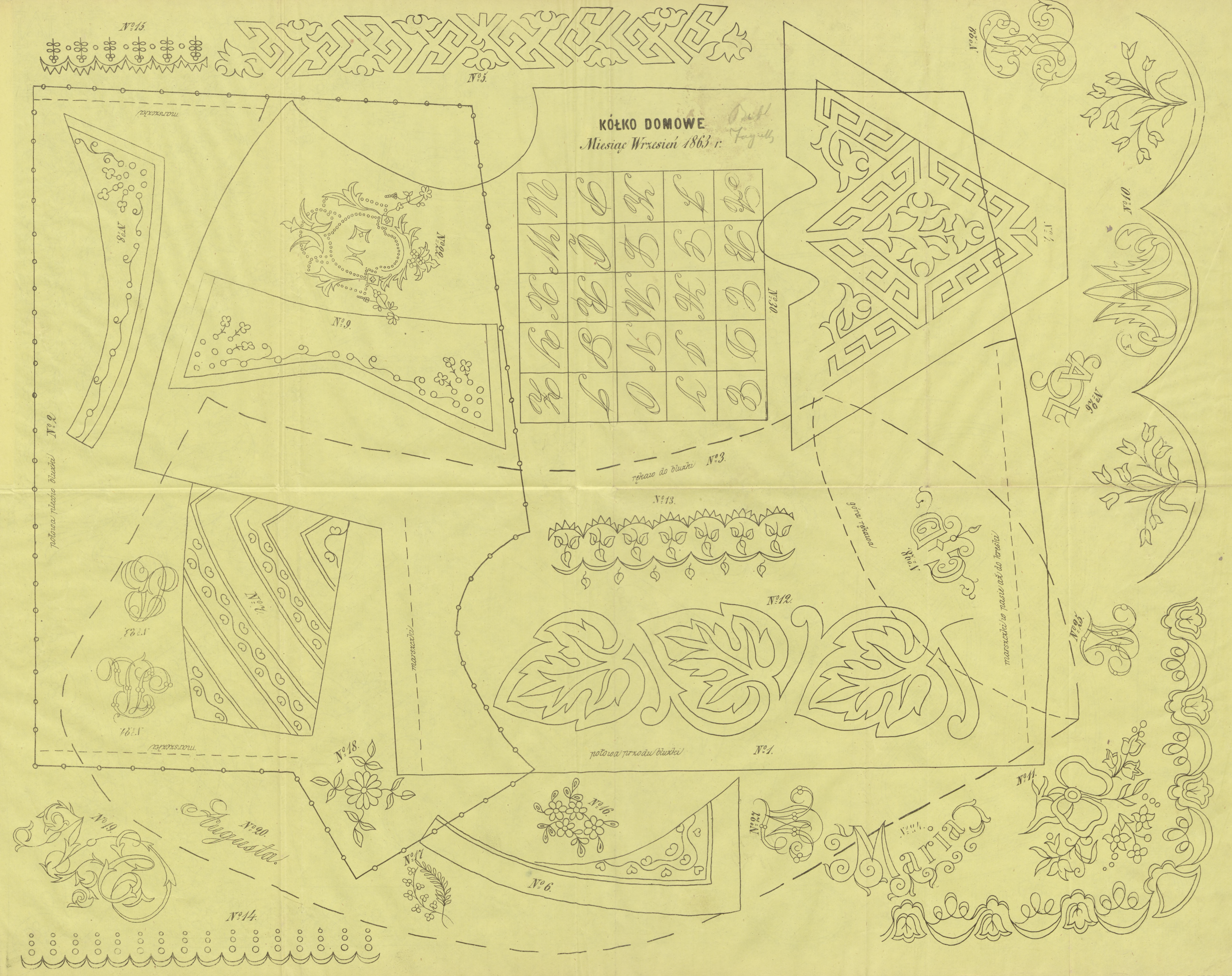
1069

KÓŁKO DOMOWE

Wrzesień 1863

KÓŁKO DOMOWE

Miesiąc Wrzesień 1863 r.





Nº 33.
Nº 45.
Nº 40.
Nº 44.
Nº 42.
Nº 38.
Nº 39.
Nº 34.